



TYGODNIK KRAJOZNAWCZY ILLUSTROWANY

DWORY, ZAMKI I PAŁACE.





Kazimierz Kulwieć.

KRAJOZNAWSTWO W ZJEDNOCZONEJ POLSCE.

W procesie dokonywanego obecnie zcalania naszej Ojczyzny, w zrastaniu się rozczłonkowanych jej części wyłaniać się muszą zagadnienia koniecznych reform, tak w zakresie życia państwowego, jak i w dziedzinie organizacji społecznych.

Cały szereg naszych instytucyj kulturalnych funkcjonował przez czas dłuższy lub krótszy, obejmując nietylko ograniczony obszar na ziemiach polskich, lecz i w zakresie swego programu mając szranki skrepowane.

W takim położeniu pozostawało i Polskie Tow. Krajoznawcze, które od czasu swego powstania w r. 1907, w myśl oficjalnej ustawy, jako legalny teren swego działania organizacyjnego, miało wskazane granice 10-u gubernij Królestwa Polskiego. Na tym jedynie ciasnym terenie mieliśmy prawo organizować się, tworząc oddziały prowincjonalne, a przekroczenie granic Królestwa z tak bezbarwną zdawało by się politycznie akcją, jak wycieczki turystyczne lub studia naukowe — spotykało się niejednokrotnie z przeciwdziałaniem wrogich nam obcych czynników państwowych.

Przypomnę tu ostatnią przedwojenną wycieczkę Towarzystwa naszego, odbytą w lipcu 1914 r. na Podole i Ukrainę, zakazaną przez generała - gubernatora warszawskiego, jako wykraczającą po za granice Królestwa. Jedynie wybuch wojny przeciął wszczęte przez władze rosyjskie dochodzenia i grożące represje względem kierownika tej wycieczki, który pomimo zakazu całą wycieczkę według ułożonego planu do skutku doprowadził.

A takich przykładów stawiania nam w naszej krajoznawczej działalności przeszkód coroczne kroniki przytoczyć by mogły wiele. — Rodzi się więc teraz pytanie: jak Tow. Krajoznawcze skorzystać może i powinno z nowych warunków naszego życia politycznego i narodowego — jak mu do tych warunków przystosować się należy?

Na pytanie to automatycznie niemal nasuwa się odpowiedź: w miarę rozszerzania się granic państwowych — rozszerzyć teren działalności Towarzystwa. Dokąd sięgną nasze straże nadgraniczne — tam, już bez wszelkich przeszkód, sięgnie i nasza idea krajoznawcza.

To, co dla krajoznawcy warszawskiego dotychczas być mogło jedynie przedmiotem marzeń, obiektem kreśleń kartograficznych, obecnie staje się realnym, dostępnym obiektem pracy, przedmiotem dotykającego obowiązków.

I jak w czarodziejskiej baśni, wysnuwa się w wyobraźni naszej długi korowód oddziałów prowincjonalnych, których zasięg łączy od Tatr niebotycznych — do nadmorskich dziedzin gdańskich, od kresów poznańskich i śląskich Zachodu do spowitych we mgłę bagnisk naddnieprzańskich Wschodu.

Powstanie licznych nowych placówek krajoznawczych wydaje się być pierwszym plonem, po który sięgnąć winna organizacja, w godle swem mająca całość ziem polskich...

Przedewszystkiem więc całą uwagę naszą winniśmy zwrócić na to, co zasadniczą ideą krajoznawstwa naszego stanowi.

I dziś tu już jawnie powiedzieć należy, co tkwiło w tajnikach ducha założycieli i twórców Towarzystwa, co było gwiazdą przewodnią wszystkich jego bezinteresownych pracowników.

Ideą tą była dążność do uświadomienia narodowego najszerszych warstw naszego społeczeństwa. Rozumiano bowiem dokładnie i wierzone głęboko, że wyzwolenie nasze polityczne przyjść może jedynie dzięki zbiorowym wysiłkom uświadomionego narodu.

Z założeń psychologicznych wychodząc, wszyscy uznajemy, że tylko drogą poznania jakiegobądź obiektu i to poznania gruntownego, przedewszystkiem zaś — z bezpośredniego zetknięcia się z nim, z naocznego obcowania rozwinać się może rzetelne zro-



zumienie i umiłowanie. Tą też drogą pragnęliśmy rozwinąć i ugruntować w społeczeństwie naszym rozumienie i umiłowanie Ojczyzny — pogłębienie i rozrost powszechny patriotyzmu polskiego.

Budzenie takiego patriotyzmu w najszerszych kołach a zwłaszcza wśród młodzieży naszej, było istotną, nigdzie jawnie nie pisaną, lecz wszędzie w pracach Towarzystwa naszego decydującą ideą wewnętrzną.

O nią chodziło, a nie o co innego, na licznych zorganizowanych przez Towarzystwo nasze wycieczkach, dla niej podejmowano skromne nasze wysiłki naukowe, na jej dobro bezpośrednio lub pośrednio agitowały nasze wydawnictwa, z nią szliśmy do swych oddziałów prowincjonalnych, na cześć jej gromadziliśmy swe zbiory...

Wszystkie bez wyjątku kierunki działalności bezpośredniej wpływów zewnętrznych Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego zaplanowane były tą naszą zasadniczą ideą narodową, za ostateczny swój cel mającą — osiągnięcie samodzielności i niezależności politycznej.

Aż oto dziś — стоимy wobec wielkiego faktu — że wśród odradzających się europejskich organizmów narodowych i nasz naród osiąga swą niezależność — w samodzielnym państwie polskim!

Wybiła godzina tryumfu dla szlachetnych wysiłków, godzina ziszczenia narodowych pragnień i marzeń, wielki dzień zrealizowania naszej wielkiej idei...

Dotychczasowej ideowej pracy naszej pierwszy rozdział zostaje zamknięty...

Nie będę tu rozważał treści tego rozdziału. Dokonano tego zresztą niedawno z powodu ubiegłego dziesięciolecia pracy naszego Towarzystwa.

Zawarły ją w sobie wydane roczniki. Chciałbym natomiast zatrzymać uwagę powszechną na tych funkcjach, które krajoznawstwo polskie do spełnienia mieć może w samodzielnym państwie naszym.

Funkcje życia państwowego porównywane bywają z życiem fizjologicznym samodzielnego organizmu, gdyż w obu ustrojach istotnie występuje szereg zjawisk analogicznych. Powstawanie i rozwój, rozrost, przystosowanie się do warunków, walka czynna

i samoobrona, odradzanie się w nowych pokoleniach, okresy pracy i zdrowia, chwile słabości i upadku — są to zjawiska, dające się wykazać zarówno w życiu pojedynczego ustroju, jak i w dziejach zbiorowości ich — w państwie.

A i w dziedzinie zjawisk psychicznych... Samopoczucie, samowiedza, samokrytyka — czyż nie istnieją, a w każdym razie czyż nie są konieczne dla normalnie rozwijającego się ustroju społeczno-narodowego? A one to właśnie rozwijane być mogą najskuteczniej na drodze krajoznawstwa ojczyzno.

Samopoczucie — stan podświadomy, istnieje w jednostce od pierwszej chwili życia samoistnego aż do zgonu. Samopoczucie dobre lub złe, normalne lub zachwiane, jest najniezawodniejszym wskaźnikiem zdrowia lub choroby organizmu — decydując o jego sprawności biologicznej.

Fizjologiczny stan ten osiągany jest przez skoordynowaną percepcję zakończeń nerwowych.

Charakter odbieranych przez zakończenia te bodźców za pośrednictwem sieci systemu nerwowego powoduje całą skalę naszych stanów czucia nerwowego, decydującego o tem, czy czujemy harmonję lub rozdzwięk w swym bycie wewnętrznym.

Czucie to sprawia, że odczuwamy tak w całości, jak i w poszczególnych swych organach, swoją własność cielesną.

Samopoczucie takie ma i naród, jednolitością swą skoordynowany. Zajmując określone przestrzeń, zespolony w składnikach swych terytorjalnych i czując ciągłość swą historyczną, naród nawet w pierwotnym swym stanie, wykluczającym świadomość narodową, posiada w sobie takie czucie wewnętrzne.

Dzięki temu zjawisku naród czuje się skonsolidowaną całością, reagując nieświadomymi odruchami, refleksami na bodźce zewnętrzne, zarówno dobroczynne, jak i szkodliwe. Uczucie przychylności sąsiedzkiej lub wrogiej zawziętości, pragnienie walki wobec doznanych krzywd i nastroje sojusznicze płyną z takiego właśnie samopoczucia, które uważać można za zmysł samoobrony. Mamy w tem szereg zjawisk życia zbiorowego, analogicznych do dziedziny czucia i uczucia osobniczego.



I tu i tam szczególnie wrażliwe są na wszelkie bodźce zewnętrzne — najbardziej na nie zzewnątrz wystawione składniki — a więc okolice obwodowe: skóra w organizmie, kresowe dzielnice dla narodu.

To też pierwszorzędnem zadaniem dla sprawności narodowej jest utrzymać jak najściślej łączność ze swemi zakończeniami kresowymi, które niekiedy rozrastają się daleko poza obręb głównych konturów kraju, przenikając do krain narodowo obcych, niby wrażliwe wypustki i czułki.

Kresy dalekie winny być przedmiotem szczególnej troski narodowej, a najdokładniejsze ich poznanie jest pierwszorzędnym obowiązkiem krajoznawstwa naszego.

Jak drogą ciągłego ćwiczenia — stałe napięcie nerwowe wyrabia się i doskonali, tak nieustanną czynnością i uwagą na kresy i stałym stosunkiem tych kresów z centralą osiągnąć można bezpośrednio czucie organizmu narodowego w stosunkach sąsiedzkich.

I dziś, gdy są widoki odzyskania dla Ojczyzny naszych najdalszych kresów — nawiązanie z niemi starego stosunku organicznego musi być pierwszym naszym zadaniem. Niech zniknie stan przymusowej rozłąki, a miejsce lekkomyślnego zaniedbania niech zajmie stan najwyższej naszej względem kresów uwagi. Spisz i Orawa, Pomorze, Mazowsze Pruskie, prastare nasze siedziby na Śląsku — z jednej strony, a Inflanty i liczne odrętwiałe odnogi nasze na Wschodzie — z drugiej, to są zapomniane, powszechnie niedoceniane, wyzwolenia narodowego wywołujące dzielnice, o których godność nasza i interes zapomnieć nam nie pozwolą.

Na tych właśnie i na wszystkich innych kresach, dzielnice nasze otaczających, naród winien być najwrażliwszy, gdyż stamtąd odbierać będzie zawsze najsilniejsze bodźce zewnętrzne — i tam tkwić muszą źródła naszego samopoczucia wewnętrznego.

Podstawy do twierdzenia takiego daje i nasza na kresach liczebność i wydajność jakościowa — boć kresy dały nam najliczniejszych bohaterów i działaczy narodowych.

Jeżeli samopoczucie narodowe, wyrabiając się, jak i w jednostce, drogą długich, naturalnych procesów bytowania bezwied-

nego — wystarcza dla ustrojów niższych, pierwotnych, żyjących refleksami, to dla osobników dojrzalszych, wyższych, niezbędną staje się świadomość, samowiedza. Dziecko ma samopoczucie, ma je również każda zbiorowość pierwotna. Ani dziecko natomiast, ani ludy pierwotne nie posiadają samowiedzy, gdyż przychodzi ona później — na stopniu bardziej dojrzałym.

Osiągnęli ją już np. nasi sąsiedzi zachodni — a za nimi i my podążać winniśmy. Zaczątki naszej samowiedzy narodowej przenikają dopiero stopniowo do mas szerokich.

I tu właśnie — krajoznawstwo ojcyste ma więcej do zdziałania, niż jakabądź inna praca nasza narodowa. Rozpowszechnienie wiedzy krajoznawczej, spopularyzowanie najistotniejszych wiadomości o Ojczyźnie naszej w najszerszych warstwach społecznych, dotarcie z geografją, statystyką i historją Polski do tych zakątków, gdzie zaledwie przeblyski świadomości narodowej świtać zaczynają — do dzielnic, dotkniętych długim stanem wynarodowienia — jak na Pomorze, na Kaszuby — na Śląsk i do Prus Wschodnich musi być najbliższem naszym, nie cierpiącym zwłoki zadaniem.

A praca to będzie niełatwa, wymagająca wypróbowanych działań metodycznych, zastosowana do warunków, w których niepodzielnie panowała dotychczas przemoc wpływów nam wrogich.

Nieś tam musimy wiedzę krajoznawczą elementarną — i działać jednocześnie innemi naszymi drogami — zorganizować i stale rozwijać turystykę odśrodkową i stworzyć takie miejscowe ogniska organizacyjne, które wywołają ruch dośrodkowy: musimy nie tylko dokładnie zwiedzić i poznać naszych zapomnianych braci — lecz i sami dać się im poznać u siebie. —

Lecz uświadamiająca strona działalności krajoznawczej ma przed sobą do spełnienia jeszcze inne, nie mniej doniosłe zadanie.

Stuletni przeszło rozdział narodu naszego na trzy zamknięte kordonami dzielnice pociągnął za sobą powstanie całego szeregu takich właściwości dzielnicowych, które, im dłużej stan odosobnienia trwał, tem bardziej przechodzić zaczęły w odrębności utrwalać się.



TYPY LUDOWE.

Przez czas naszej niewoli rozwinęły się u nas odrębne typy Polaków z Królestwa, odrębne z Litwy i Rusi, inne znów w pozostałych zaborach. Typ „galicjanina“, czy „poznaczyka“ da się u nas rozpoznać już z samego sposobu myślenia, światopoglądu społecznego, z mowy i z właściwości towarzyskich.

Być może, że z jednej strony zyskuje na tem bogactwo naszych typów indywidualnych, mieniają się różnorodnością charakterów i nawyknień galerja polskich okazów prowincjonalnych, z drugiej jednak strony wiele traci na tem nasza spoistość narodowa!

Tu szukać należy źródła grasującej u nas manji w tworzeniu nieskończonej ilości partyj i partyjek politycznych, tak fatalnie odbijającej się na naszej solidarności i wartości narodowej.

Manja ta stanowi znakomite podłoże, jak to w ostatnich czasach w kraju i po za krajem widzieliśmy, do tak zgubnego dla sprawy naszej rozwijania się u nas wpływów i interesów obcych.

Usunięcie kordonów w pewnym stopniu przerywa trwający dotychczas proces naszego dalszego różnicowania się; lecz musi być podjęta planowa akcja, zmierzająca do zatarcia, zniwelowania zbyt wielu różnic, spowodowanych często obcemi naleciałościami.

Przywrócenie swobodnego krążenia pomiędzy dzielnicami, poprzednio rozgraniczonymi, wywołało już ożywiony ruch wzajemnej wymiany tak w dziedzinie życia materialnego, ekonomicznego, jak i w zakresie objawów duchowych, obyczajowych.

Ruch turystyczny, krajoznawczy w procesie tym winien również odegrać wybitną rolę.



Jul. T. Koszutski.

Typy z okolic Pińczowa.

Atrybutem dojrzałości jest samokrytyka, którą uważać można za uwieńczenie normalnego rozwoju samowiedzy, mądrej maksymy starożytnych: poznaj samego siebie. Dla człowieka normalna droga rozwoju psychicznego wieść winna od samopoczucia przez samowiedzę do samokrytyki, a szczęśliwy i mocny musi być naród, który również w historii swego rozwoju ten najwyższy szczebel samowiedzy osiągnął.

Krytyka dokonywana bywa metodą porównawczą, bez niej też ohyć się niepodobna, gdy chodzi o ocenę krytyczną wad lub cnót



własnych, nawyknień i obyczajów osobistych czy własnego narodu.

Różnorodność składników naszego kraju jest tak znaczna, że i w granicach własnych pole do zestawień i porównań a więc i do wnioskowania krytycznego mamy rozległe.

Ciągłość jednakże zjawisk przejściowych utrudnia znacznie ostrość naszych obserwacji i dokładność wniosków.

To też powołanie do porównań wzorów obcych i zestawienie ich z własnymi o wiele krytykę ułatwia.

Zetknięcie się z szerszym światem, poznanie narodów i krain obcych jest dla krajoznawcy ziemi ojczystej z tego względu nadzwyczaj pożądane.

Sądzę więc, że do zakresu studjów i obserwacji krajoznawczych Towarzystwo nasze — rozszerzając wogóle zakres swej działalności — wprowadzi i krajoznawstwo krajów z nami sąsiednich.

Gromadzenie literatury geograficznej, dotyczącej zwłaszcza ziem czeskich, słowackich, chorwackich i wogóle słowiańskich, musi być nie cierpiącym zwłoki zadaniem naszych księgozbiorów krajoznawczych, a nie wątpię, że podjęcie szeregu wycieczek do Czech, na Morawy i do pięknych krain słowiańskich, przeglądających się w szafirowych falach Adrjatyku, spotka się u nas z szerokim uznaniem i licznym udziałem.

Poza niewątpliwą korzyścią naukową, jaką z takich, niedalekich zresztą, wycieczek zagranicznych osiągać będziemy — damy być może tą drogą ujście głęboko odczuwanej przez inteligencję naszą potrzeby „odświeżenia się“ pod obcym niebem, potrzeby, która rok rocznie pędziła setki turystów naszych do Alp dalekich i Pirenejów, na włoską

i francuską Rywjerę z nieodzownym hołdem i haraczem wszechświatowej instytucji w księstwie Monako.

Takie wyłaniają się zadania i takie możliwości dla działalności krajoznawczej w Polsce samodzielnej. Pominę tu szczegółowe reformy, którym instytucja nasza w najbliższym czasie uleść winna.

Reformy te będą wszechstronnie ze stanowiska naukowego, społecznego i państwowego rozważone, a dojrzałe projekty do aprobaty członkom Towarzystwa przedstawione.

Pragnąłbym natomiast niniejsze uwagi swoje zakończyć wyrażeniem przeświadczenia, że Towarzystwo Krajoznawcze w najbliższej już przyszłości pracować będzie w warunkach o wiele pomyślniejszych, niż pracowało dotychczas.

Nie będziemy już zużywać swej energii na zwalczanie stawianych nam dotąd przez okupantów przeszkód, a przeciwnie: rząd polski zapewni nam niewątpliwie skuteczne poparcie.

Niechże odtąd słowo krajoznawcze rozlega się głośno i śmiało, niech rozchodzi się szeroko po kraju i przenika w naród głęboko.

Niech drogi nasze zaroją się od wzmożonego ruchu pielgrzymek wycieczkowych, witanych gościnnie zarówno nad Wartą, jak Dniestrem i Niemnem; na świeżych pobojowiskach niech złożą hołd pamięci tym naszym bohaterom, którzy w walce o lepsze jutro dla narodu i całej ludzkości w ziemi ojczystej swe kości złożyli, a przelana krew ich niech zakwitnie bujnym kwieciami wolności, zgody i miłości braterskiej.



Stanisław Łoza.

PAŁAC RACZYŃSKICH W WARSZAWIE.

Przy zbiegu ulic Długiej i Wąskiej w sąsiedztwie zabudowań klasztoru O. O. Paulinów stoi piękny dwupiętrowy gmach pod № pol. 5, a hypotecznym 591, w stylu charakterystycznym budowli, wznoszonych w ostatnich latach panowania króla-miłośnika piękna. Pałac ten ufundował około r. 1768 dla siebie Kazimierz Raczyński († 25 listopada 1824 r.) starosta hamersztyński, zełgiewski i czerwonogrodzki, pisarz wielki koronny (1768 — 1776), generał wielkopolski (1779 — 1791), marszałek Rady Nieustającej, marszałek nadworny (1789 — 1793), kawaler orderów: Orła Białego, Św. Stanisława, Orła Czarnego, Orła Czerwonego, Aleksandra Newskiego, prezes komisji bankowej trylateralnej¹⁾ magnat o bardzo wielu tytułach i „godnościach“ osobistych, ale niestety bez godności narodowej i z zaszarganą najzupełniej opinią targowiczana. Otrzymał on tytuł hrabiowski 1798 r. od Fryderyka Wilhelma III. Pozostawił dwie córki: Magdalenę (1765 — 1845) za Michałem Lubomirskim oraz Mic. alinę (1768 — 1790) za generałem majorem Filipem Raczyńskim, matkę Edwarda (1786 — 1845) i Atanazego (1788 — 1874).

Ten pan marszałek — jak opowiada o. Wacław w swej znanej pracy: „Warszawa w r. 1794“ — wystawił był sobie dość wielką kamienicę przy ul. Długiej i na tablicy przy bramie kazał wyryć napis, „Pałac Raczyńskich“; zaraz na drugi dzień ktoś dopisał: pierwszy pałac rodowi, pierwszy ród pałacowi. Wskutek tego zamiast „pałac“ — kazał wyryć „Dom Raczyńskich“. I to nie pomogło, gdyż znowu na drugi dzień dodano: „Dwa domy zdobią ulicę miasta Warszawy, jeden Raczyńskich, drugi poprawy.“

Budowniczym rzeczono go pałacu był Jan Kamsetzer (1753 † 1795) budowniczy nadworny Stanisława Augusta, który jednocześnie wystawił dla marszałka pałac mu-

rowany w Radzyminie oraz dwór modrzewiowy w Czarnolesie, zgorzały na początku r. 1853.

Cofnijmy się ku początkowi XVIII w., aby przebiec koleje posiadłości, na której stoi pałac, obecnie szczęśliwie odnawiany podług wskazówek architekta profesora M. Lalewicza.

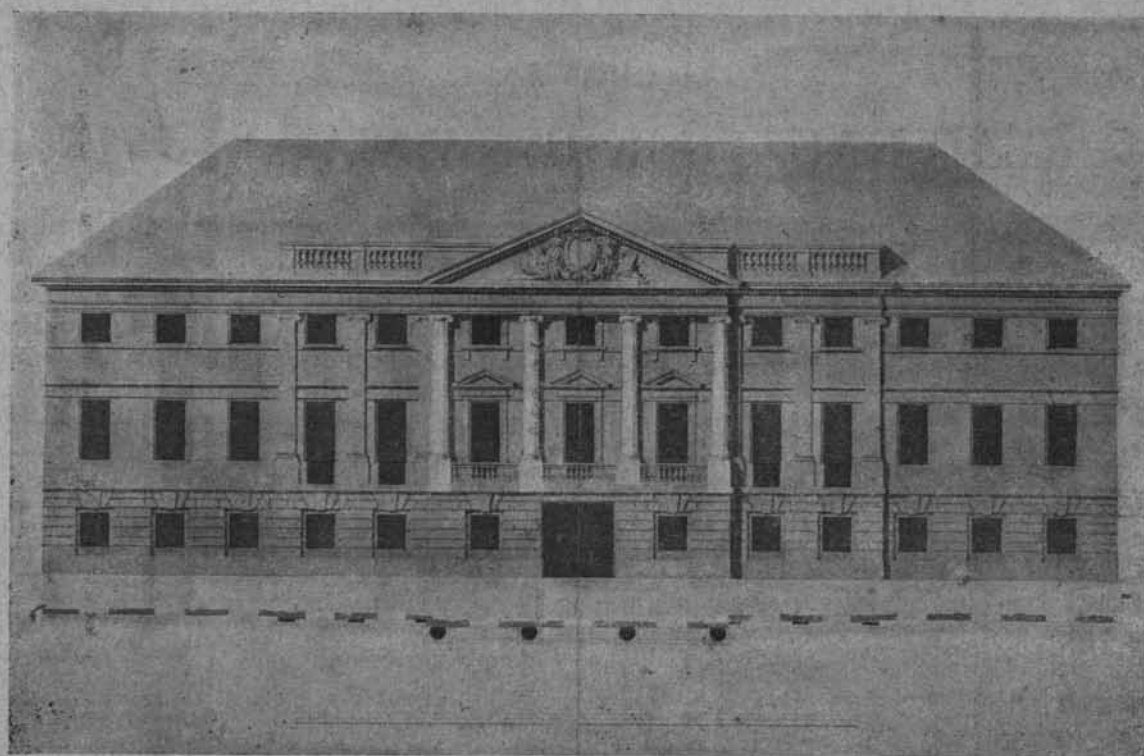
Około r. 1702 rodzina mieszczan warszawskich Wittów wystawiła tu sobie pałacyk, nabyty od nich przez radcę miasta Starej Warszawy, Jakóba Szulendorfa, który ze swej strony sprzedał go w roku 1717 Felicjanowi Konstantemu Junoszy Szaniawskiemu, biskupowi kujawskiemu. Szaniawski po przeniesieniu się na biskupstwo krakowskie sprzedał pałacyk w r. 1721 kanclerzowi wielkiemu koronnemu, Janowi Szembekowi. Po śmierci tegoż w r. 1731 pałacyk przeszedł na Stanisława Szembeka, starostę lubiatowskiego, a od tego do Kazimierza Raczyńskiego, fundatora pałacu, któremu poświęcona jest niniejsza notatka.

Pałac ten, którego frontonu środkowy szpaler ozdobiony był na tympanonie herbem „Nałęcz“ oraz napisem: „Pałac Raczyńskich“, odznaczał się bardzo dogodnym rozkładem apartamentów i urządzony był z przepychem.

Wielka sala balowa, wysoka na dwa piętra, z obszernym chórem na orkiestrę, była ozdobiona czterema dużymi obrazami o treści, zaczerpniętej z historii starożytnej, wprawionymi w mur, sztukaterjami, wykonanymi ręcznie, oraz pajakami i kandelabrami misternej roboty. Sala łączyła się z oficyną, w której znajdowała się również wielka sala jadalna, około r. 1820 przerobiona na pokoje mieszkalne

Sala przyjęć, pokoje przyległe oraz pokoje marszałkostwa ozdobione były adamaszkowymi obiciami, złoceniem lamperjami, weneckimi zwierciadłami, marmurami, bronzami, malowidłami al fresco. W salonie środkowym wisił portret naturalnej wielkości

¹⁾ Komisja trylateralna była ustanowiona w celu likwidacji upadłych banków: Prota Potockiego, Kabryta i Piotra Teppera.



Pałac Raczyńskich przy ulicy Długiej w Warszawie.

*fol. z projektu Kamsetzera ze zbiorów
Tow. Opieki nad zabytkami przeszłości.*

króla Stanisława Augusta w stroju koronacyjnym. Portret ten pędzla M. Bacciarellego został przeniesiony do galerji hr. Atanazego Raczyńskiego w Berlinie.

W czasach świetności pałacu dane były tu dwa bale: jeden w czasie bytności w Warszawie króla pruskiego, Fryderyka Wilhelma III-go, zaś drugi w r. 1815 na cześć rzeczywistego radcy tajnego, Wasila Sergiejewicza Łanskoja, po ukończeniu przez tegoż pełnienia czynności prezesa rządu tymczasowego Królestwa. Prócz tych bali odbyła się tu uroczystość weselna Kazimierza Lubomirskiego, syna ks. Józefa i Doroty ze Steckich, z Marją z Granowskich, ostatnią z rodu, zamężną 1-o voto za kanclerzycem Adamem Chreptowiczem, zaś 2-o v. za Aleksandrem Zamoyskim; wesele to miało miejsce po obrzędzie zaślubin, który się odbył w sąsiednim kościele O. O. Paulinów, dokąd orszak udał się korytarzem, łączącym pałac z kościołem, gdzie Raczyńscy mieli swą lożę. Tu mieszkał ksiądz Ignacy Raczyński, scholastyk poznański; później arcybiskup gnieźnieński. Wówczas był cenzorem książek oryginalnych polskich oraz z cudzoziemskich

języków tłómaczonych. W r. 1794 mieściła się w pałacu tym Najwyższa Rada Narodowa.

Po wypędzeniu Prusaków z Warszawy w pałacu przenocował marszałek Ludwik Mikołaj Davoust, ks. Auerstaedt i Eckmühl, skąd się przeniósł następnego dnia do pałacu Brühlowskiego. Dłużej mieszkał tu marszałek Jan Lannes ks. Montebello.

W późniejszym czasie rodzina Raczyńskich zamieszkała pałac nanowo. Tu zmarła w r. 1819 Teresa z Moszczeńskich Raczyńska, zaś mąż jej, hr. Kazimierz, w pięć lat później. Tu do r. 1824 Raczyńscy mieli urządzoną za indultem kaplicę domową, w której nabożeństwa odprawiali O. O. Dominikanie oraz O. O. Paulini. Marszałkostwo Raczyńscy tu dwa razy tygodniowo wydawali obiady, na których zbierali się przedstawiciele władz, duchowieństwa i świata literackiego. W pałacu mieszkali czas jakiś Maksymiljanostwo ks. Jabłonowscy przed przeniesieniem się do domu własnego przy zbiegu Nowego Świata i Wareckiej, przerobionego z pałacu pierwotnie Sanguszków a następnie Janowej Potockiej przez budowniczego Hilarego Szpilowskiego.

Po śmierci marszałka pałac przeszedł na Atanazego Raczyńskiego, od którego 7-go września 1827 Komisja Rządowa Sprawiedliwości nabyła go za 246,000 złotych i w r. 1828 przeniosła biura z pałacu Krasieńskich zw. Rzeczypospolitej.

Po nabyciu pałacu przez Komisję Rz. Sprawiedliwości z frontonu usunięto napis i herb, zaś wewnątrz zostały również dokonane przeróbki, przyczem apartamenta frontowe były przeznaczone na mieszkania dla dygnitarzy. Mieszkali tu kolejno minister Ignacy Sobolewski (1770 † 1846), generał Franciszek Ksawery Kossecki (1779 † 1857), bracia Wyczechowscy Antoni i Onufry, którzy tu w r. 1849 obchodzili jubileusz pięćdziesięciolecia służby.

W r. 1853 niskie oficyny, mieszczące wozownie i służbowe pomieszczenia, wybudowane równocześnie z pałacem, zostały nad-

budowane pod kierunkiem budowniczego Kleofasa Konopki, przyczem powstały nowe budynki przy zbiegu Podwala i Wąskiej.

Wizerunek pałacu, którego podobiznę tu zamieszczam, użyty łaskawie przez Tow. Op. nad Zabytkami Przeszłości, jest oryginalnym rysunkiem J. Kamsetzera. Został on ofiarowany w roku 1917 przez znającego badacza pruskiego, budowniczego J. Kohtego.

ŹRÓDŁA.

Al. Kraushar. Pałac Raczyńskich. *Tyg.* III. 1905 № 37.

Kurjer Warszawski 1853. 16. X № 272.

J. Dunin-Borkowski. Almanach Błękitny.

Herbarz K. Niesieckiego.

T. Korzon: Wewn. Dzieje Polski za Stanisława Augusta.

Bronisław Szwarce. Warszawa w 1794 r. Kraków 1894.



Stanisław Miklaszewski.

Z PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ.

W sierpniu r. b. spędziłem parę tygodni w puszczy Białowieskiej i pragnąłbym obecnie zwrócić uwagę naszych kół społecznych, interesujących się krajoznawstwem, na ten piękny lecz, niestety, gruntownie zaniedbany w świadomości naszej zakątek. Podróżując w tych stronach, widzi się wyraźne ślady, wskazujące, że wichura wydarzeń wojennych lat ostatnich ogarnęła i te odwieczne obszary puszczańskie: tu i owdzie wzdłuż toru kolejowego i na rozległych polanach leśnych widnieją rowy strzeleckie, pasma drutu kolczastego i te skromne cmentarzyki żołnierskie, na skromnych drewnianych krzyżach których jak gdyby osiadło zapomnienie. Również wielką twierdzę drzewostanu wyszczerbiła wojna: dziesiątki tartaków niemieckich pracowały w ciągu paru lat z nieubłaganą systematycznością, szerząc wkoło zniszczenie, spotyka się często szyny kolejek wąskotorowych, wijące się jak węże wśród

leśnych ostępów, a olbrzymie pokłady ściętych i niewywiezionych pali stanowią wielomiljonowe bogactwo, które, pod wpływem warunków atmosferycznych gnijąc stopniowo, ulega zniszczeniu. Należy się jednak tutaj dać pewne sprostowanie: w szerokich kołach społeczeństwa naszego słyszy się nieraz utarte zdanie, że Puszcza Białowieska została w wielkiej swej części wyrębana i wywieziona w głąb Niemiec. Jest to mylne wyobrażenie: w stosunku do ogromu całej Puszczy ilość wyciętej przestrzeni wynosi zaledwie 4—5%; przypomnę tylko, że średnica tego olbrzymiego obszaru leśnego, który nie ma sobie równego w Europie, stanowi około 300 kilometrów. Jest to zatem prawdziwa rzeczpospolita leśna, na której terenie mogłoby się mieścić kilka mniejszych państw bałkańskich.

Rabunkowa gospodarka niemiecka, pomimo całego swego wysiłku, zdołała zlikwi-



dować zaledwie drobną część tych niezmiernych bogactw leśnych, które będą w przyszłości niewątpliwie stanowiły poważną podporę i wielkie źródło dochodu dla skarbu państwa.

Jechałem puszczą z Hajnówki do stacji Białowieży 30 kilka kilometrów drezyną: z obu stron nasypu kolejowego wybujałe dęby, sosny, buki, jesiony ciągną się potężnym szumiącym zwałem, u stóp starych drzew młode sosenki i jodły, gęsto porośłe, stanowią jak gdyby splot tego zielonego częstokołu nie do przebycia, swobodny świergot ptactwa leśnego rozbrzmiewa z mocą, zadziwiającą ucho nieprzyzwyczajone, w miejscowościach wilgotnych i bagnistych podróżnego wprost ogłusza pisk i brzęczenie milionów różnych owadów, świerszczy, koników polnych, roje fantastycznej wielkości much i komarów, napastujących nas ciągle, i jedynie szybki bieg drezyny chroni od ich dotkliwych nieraz obrażeń. Jadąc, czasem płoszymy grzejące się w słońcu na szynach gromadki królików, które pierzchają na odległość zaledwie paru metrów od drezyny. Według słów ludzi miejscowych jest tu wielka obfitość różnej zwierzyny: wilki, jelenie, łosie znajdują w tych lasach względnie bezpieczne schronisko. A żubry? spyta niewątpliwie czytelnik. — Kilka tych ostatnich żyjących mohikanów Puszczy błąka się jeszcze dzisiaj w najgłuchszych jej ostępach (liczba ich podobno waha się od 4—6). Po dwugodzinnej podróży stajemy wreszcie w Białowieży. Jest to osada położona na olbrzymiej polanie leśnej, wkoło przy widnokregu obramowanej ciemną wstęgą lasów. Główną osobliwość Białowieży, zasługującą na zwiedzenie, stanowi pałacyk myśliwski byłego cesarza rosyjskiego. Jest to budynek trzypiętrowy, nieco w staro moskiewskim stylu. Zewnętrzna architektura pałacu nie odznacza się gustem artystycznym ani wytwornością. Do wnętrza pałacu wprowadził nas jedyny jego stróż — Białorusin (pozostałość z dawnej służby cesarskiej), oprowadzając, udziela jednak objaśnień wcale niezłą pol-

szczyzną, której nauczył się dopiero od niedawna. Wogóle zaznaczyć należy, że polonizacja językowa postępuje w tym kraju nadzwyczajnie szybko. Wewnętrzne apartamenty pałacowe, aczkolwiek zniszczone bardzo i niemal całkowicie ogołocone ze sprzętów, jednak warte są obejrzenia; wszędzie, nie wyłączając pokoiów służby pałacowej, położonych na najwyższym piętrze, znać ślady byłego szerokiego komfortu i przepychu. Powykręcano klamki mosiężne od pięknych jesionowych drzwi, wspaniałe jedwabne obicia zdarto ze ścian i zastąpiono je zwykłymi plecionkami ze słomy, lecz na sufitach podziwiamy z artyzmem wykonane pejzaże myśliwskie. Główną ozdobą pałacu stanowiły różne trofea myśliwskie; wszystkie korytarze i pokoje dekorowane były głowami i rogami żubrów, łosów, jeleni i t. d., dziś przypominają o tem tylko setki gwoździ, pozostałych na pustych ścianach. Chociaż pałac został niemal doszczętnie ogołocony przez Rosjan i obrabowany przez Niemców, ocalało w nim jednak jakimś niezwykłym trafem małe muzeum, położone na pierwszym piętrze, zawiera ono rzadkie i ciekawe zbiory, jako to: rzadkie okazy drzew różnych gatunków, nadto bogatą kolekcję mchów leśnych, liczne szkielety, rogi i czerepy żubrów, łosów, jeleni; podziwialiśmy tutaj olbrzymie blaty drewniane wypilowane z odwiecznych dębów, niektóre z nich mają po kilka metrów średnicy. Te cenne zbiory znajdują się w stanie zupełnego zaniedbania, sądzę, iż odpowiednie czynniki polskie winny je jaknajrychlej zarejestrować i otoczyć troskliwą opieką.

Wyjechałem z Białowieży już o zachodzie słońca, gęste mgły i opary, jak dymy unosiły się z wilgotnych głębin leśnych, snując swą białą przędę dookoła potężnych konarów drzew; w gęstniejącym zwolna mroku ten bór olbrzymi jak gdyby powoli dopiero zaczynał odsłaniać przed ciekawym podróżnym swą pierwotną istotę, pełną dziwów i niewysłowionych tajemnic.



Edward Maliszewski.

ŻYWIOŁ POLSKI NA WOŁYNIU.

I.

Sąsiadujący przez Bug bezpośrednio z Królestwem Polskiem Wołyń tworzy rozległy i bogaty kraj, o powierzchni przeszło 71 tysięcy kilom. kwadr. Jest on zatem tak duży, jak sześć gubernij Królestwa. Na obszarze tym było przed wojną niecałe 4 miliony mieszkańców. Wypadało zatem 56 głów na klm. kw., — dwa razy mniej, niż w Królestwie, gdzie było już 106 głów na kilometr kwadratowy. Najślabiej przytem zaludnione były powiaty przylegające do Królestwa lub bardziej do niego zbliżone. Tak więc w pow. włodzimierskim było 57 głów na klm. kw., w kowelskim 38, łuckim 45, rówieńskim 44. Najgęściej zaludniony był przylegający już do Podola pow. starokonstantynowski — miał bowiem 98 głów na klm. kw.

Kraj ten dzieli się na dwie odrębne strefy o odmiennych warunkach fizycznych: właściwy Wołyń na południu i Polesie na północy. Linja demarkacyjna, której oczywiście niesposób ściśle przeprowadzić, biegnie mniejwięcej wzdłuż kolei z Lublina przez Kowel i Równe do Berdyczowa i Kijowa. W powiatach właściwego Wołynia jest świetna gleba pszenna i buraczana, gdzie obok zbóż i roślin okopowych uprawiany jest z dużem powodzeniem chmiel i tytuń. Na Polesiu grunta są znacznie gorsze, przeważnie piaski i gliny piaszczyste. Głównem bogactwem są tu lasy, a podobno olbrzymie wprost są i bogactwa mineralne. Wielkie bagna północnego Wołynia — według obliczeń, dokonanych przez rosyjski departament rolnictwa i dóbr państwa — dałyby się przy odpowiednim nakładzie osuszyć w ciągu dziesięciolecia. Stworzyłoby to nową erę dla kraju, drzemiącego dziś w ciszy swych lasów i bagien.

Cały obszar Wołynia tworzy wogóle dziś jeszcze teren wielkich możliwości. Niezbadane są należycie jego bogactwa górnicze, niewyzyskane w całej pełni wprost

świetne w kilku powiatach warunki gleby. Ludność polska, posiadająca po uwłaszczeniu włościan jeszcze więcej, niż połowę całego terytorjum w swoim ręku, podlegała od czasu ostatniego powstania tylu i tak dotkliwym ograniczeniom, że nietylko nie mogła myśleć nawet o jakiegokolwiek szerszej działalności politycznej, ale z trudnością, i to dopiero w latach ostatnich, uzyskiwała pozwolenie na założenie najprostszych zrzeszeń ekonomicznych, z rosyjskim zresztą językiem urzędowym i zawsze z rosyjskim prezesem na czele. Pomimo to, pomimo wszelkie gnębienia, kontrybucje i prześladowania, żywioł polski, głęboko związany z tą ziemią, którą uważa za najbliższą część swojej ojczyzny, wytrwał w przeważnej części na swoich placówkach wołyńskich i jest tam dziś, jak i dawniej, równorzędnym z ludem rusińskim gospodarzem kraju.

W ciągu ostatniego półwiecza Wołyń stał się terenem dwóch wielkich eksperymentów ekonomicznych: podjętej na wielką skalę w tym kraju polsko-rusińskim kolonizacji niemieckiej i kolonizacji czeskiej. I rzecz ciekawa: obie te kolonizacje przyjęły się tu doskonale, a osady niemieckie i czeskie tworzą dziś prawdziwe oazy europejskiej kultury gospodarczej wśród drobnej własności ziemskiej.

Równorzędnie i równocześnie z falą nowych osadników z Niemiec i Czech płynąć tu zaczęła w okresie popowstaniowym i kolonizacja chłopów polskich z za Bugu. Była to już fala znacznie słabsza, zarówno liczebnie, jak i ekonomicznie, nadewszystko zaś była odrazu wielce podejrzana politycznie. Rząd rosyjski prowadził z całą świadomością politykę „odpolszczenia“ Wołynia, nie mógł zatem patrzeć przychylnem okiem nawet na tych ubogich kmiotków, dalekich wprawdzie od jakichkolwiek aspiracyj politycznych, ale bądźco bądź — Polaków. Osiedli ich wprawdzie nieco na roli, zwłaszcza w pow. włodzimierskim, wzmacniając istniejące tu i dawniej osady polskie, ale prze-



DWORY, ZAMKI I PAŁACE.



Ruiny zamku w Czarnokozłuchach, pow. kamieniecki.

fol. z zbiorów Pol. Tow. Krajozn.

ważnie, nie jako właściciele, bo tu niestychane zawsze znaleźć się musiały trudności, tylko jako długoletni dzierżawcy, czynszownicy.

Nawet i ten jednak słaby dopływ polskiego żywiołu włościańskiego z Królestwa zaniepokoił wkrótce na dobre przedstawicieli władz. I oto d. 14 marca 1892 r. z inicjatywy gubernatora wołyńskiego wydane zostało prawo, zabraniające m. in. „przesiedleńcom z Królestwa Polskiego“ nabywać i dzierżawić gruntów na Wołyniu. Prawo to, w formie nieco zmienionej, zostało powtórzone 19 marca 1895 r. i jako takie weszło do Zbioru Praw. Zakazywało ono kategorycznie kupowania i dzierżawienia ziemi na Wołyniu: wychodźcom zagranicznym, którzy przyjęli poddaństwo rosyjskie, oraz przesiedleńcom z „gubernij priwislinskih“, przyczem generał-gubernator kijowski otrzymał prawo wysiedlania sądownie lub nawet administracyjnie osób, winnych przekroczenia niniejszego przepisu.

Położona została w ten sposób zupełna tama dalszemu osadnictwu polskiemu na Wołyniu, choć była to naturalna droga ekspansji dla włościaństwa z przeludnionego Królestwa. Tysiące kolonistów polskich szły

już zresztą tą drogą od wieków, zaludniając żyzne a puste kresy, niszczone systematycznie co pewien czas przez Tatarów lub hajdamaków. W braku należytej opieki ze strony czynników państwowych i sfer oświeconych znaczna część tej kolonizacji roztafiała się wśród większości rusińskiej; przyszedł później drakańskie wysiedlania drobnej szlachty polskiej z prowincyj dawnej Rzeczypospolitej na stepy czarnomorskie i uralskie za czasów Mikołaja

I-go. Pozostało jednak, pomimo wszystko, i z tych dawnych czasów dużo ludu polskiego na Wołyniu. Utrzymała go przy polskości najczęściej religja, czasem tradycja, niekiedy wreszcie jakaś cicha praca oświatowa.

Już na głębokim Wołyniu, w jakimś np. Stepaniu w pow. rówieńskim, można spotkać pięciotysięczne parafie katolickie, w których poza jedną czy dwiema setkami osób, zaliczających się do sfer inteligentnych, ogół parafjan tworzy prosty lud wiejski, chodzący w łapciach i sukmanach, ale przywiązany głęboko zarówno do swej religji, jak i do swej narodowości. Nawet w najdalej ku Kijowszczyźnie wysuniętym powiecie owruckim sporo jeszcze i dziś znaleźć by można wśród ludu wiejskiego niewątpliwych Polaków, gdyby tylko zmienione warunki polityczne pozwoliły na te — poszukiwania.

Ujęcie danych narodowościowych co do Wołynia w jakieś wykazy, choć możliwie zbliżone do prawdy, jest, jak i wszędzie na obszarach Litwy i Rusi, rzeczą bardzo trudną i czynione być może tylko z jaknajwiększymi zastrzeżeniami. Wszystkie statystyki rosyjskie zmniejszały sztucznie procent Polaków w tym kraju. Za właściwszą

podstawę do obliczeń uznać tu już należy statystykę wyznaniową, choć dodać trzeba, że i dane, otrzymane tą drogą, będą niewątpliwie niższe od rzeczywistych, gdyż istnieje na Wołyniu dużo drobnej szlachty, z wyznania już obecnie prawosławnej, ale przechowującej żywe i silne tradycje swego polskiego pochodzenia. W sprzyjających okolicznościach znaczna jej część może jeszcze powrócić do polskości.

Według spisu jednodniowego z r. 1897, było na Wołyniu katolików, a zatem Polaków, w cyfrach okrągłych 350 tysięcy głów, czyli 10 proc. ogółu ludności. Według t. zw. rubrycelli, wydawanej przez konsystorz biskupi, w r. 1909 procent ten miał być mało co większy, wynosił bowiem 10,5%. Największy procent katolików — rzecz charakterystyczna dla stosunków miejscowych — okazał się w najdalej od Królestwa odsuniętych powiatach, mianowicie w żytomierskim i zwiahelskim — po 12,2%. Z powiatów, bliższych linii Bugu, we włodzimierskim było 11,4%, kowelskim 4,7%, łuckim 10,6%, rówieńskim 10,9%, dubieńskim 8,7%. W powiatach zaś środkowych było: krzemienieckim 7,1%, ostrowskim 9,7%, starokonstantynowskim 11,3%, zaslawskim 10,6%. Wreszcie najdalejszy powiat poleski, mianowicie owrucki, miał tylko 5,4 proc. katolików.

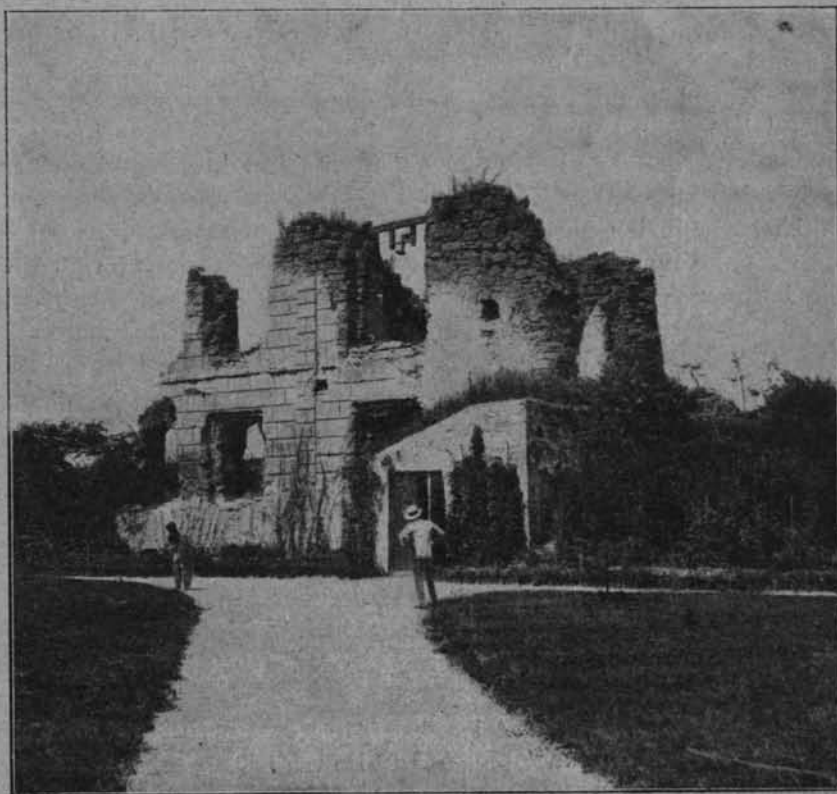
Ale same tylko dane procentowe, podkreślić to trzeba jaknajbardziej, dają słabe bardzo pojęcie o istotnym ustosunkowaniu sił narodowych w tym rozległym i pięknym kraju. Pamiętać bowiem należy, iż ogromną większość wśród jego mieszkańców, sięgającą według wykazów urzędowych 70 proc., tworzą włościanie Rusini, nie aspirujący bynajmniej, przynajmniej

do ostatnich czasów, do roli istotnego gospodarza kraju. Wobec braku własnych państwowych tradycji historycznych, własnych sfer inteligentnych, własnego wyrobionego pod względem literackim języka, wszyscy Rusini, wybierający się z ludu do sfer inteligentnych, przyjmowali, jak dawniej, kulturę polską, w ostatnich zaś paru pokoleniach — kulturę rosyjską. Nie jest dotychczas rzeczą pewną, czy nawet obecny wielki przewrót polityczny przyczyni się do wytworzenia i ustalenia całkowitej i wszechstronnej kultury „rusińskiej“ lub „ukraińskiej“, a wobec tego rola i znaczenie w tym kraju innych żywiołów narodowych o starej i mocnej kulturze mogą nie tylko z czasem nie osłabnąć, ale przeciwnie — nabrać cech bardziej jeszcze dominujących.

Poza Polakami i Rusinami mieszkają stale w tym kraju znaczniejsze ilości Rosjan, Żydów, Niemców i Czechów. Każda z tych grup zasługuje na parę uwag osobnych.

Rosjan, według spisu z roku 1896, było w tym kraju 3,5 proc. Tworzyli oni we wszyst-

DWORY, ZAMKI I PAŁACE.



Fot. ze zbiorów Pol. Tow. A. Rajcz.

Ruiny zamku w Pantowcach, pow. kamieniecki.



kich powiatach nawarstwienie równomierne, stanowili bowiem wszędzie klasę urzędników. Urzędnicy ci niejednokrotnie, korzystając z wyjątkowych swoich przywilejów a z upośledzenia dotychczasowych gospodarzy kraju, Polaków, nabywali od nich w mniej lub więcej uczciwy sposób majątki ziemskie i przechodzili do klasy właścicieli ziemskich. Obecna wielka burza wojenna wymiotła ich z kraju niemal zupełnie, a nie wiadomo jeszcze, czy wrócą wogóle. Rola ich zatem w tym kraju wygląda obecnie więcej, niż problematycznie.

Żydzi, których tu jest 13 proc., tworzyli, jak wszędzie zresztą na ziemiach polskich, klasę kupców i drobnych handlarzy. Osiedli oni gęsto po miastach i miasteczkach, stanowią jednak społeczeństwo w sobie zamknięte, utrzymujące kontakt z innymi grupami narodowymi wyłącznie w dziedzinie handlu i oczywiście nie roszcujące najmniejszej pretensji do odgrywania w kraju większej roli politycznej.

Również zamknięte grupy społeczne tworzą tu koloniści niemieccy i czescy. Zasiedli oni gęsto w środkowym pasie Wołynia, mniej więcej od Łucka na Dubno, Równe, Ostrog, Zwiahel do Żytomierza. Gospodarka ich podniosła niewątpliwie kraj znacznie pod względem ekonomicznym, ale wobec zupełnego odcięcia obu grup zarówno pod względem językowym, jak i kulturalnym od ogółu ludności, niemożna wprost mówić o jakimkolwiek oddziaływaniu ich na otoczenie. Są to prawdziwe oazy innego świata; bardzo same przez się interesujące, ale zbyt mało mające realnego kontaktu z pozostałą ludnością, aby ich wpływ zaważył tu mógł choć cokolwiek przy kształtowaniu dalszych form egzystencji politycznej.

Napływ kolonizacji niemieckiej i czeskiej na Wołyn jest względnie świeżej daty. Rozpoczął się on właściwie po ostatnim powstaniu, kiedy mnóstwo rozległych majątków polskich, wystawionych na sprzedaż przymusową przez władze rosyjskie, nie znajdowało na miejscu nabywców. Za bezcen wprost szła tu wówczas ziemia na sprzedaż. Podstawą kolonizacji niemieckiej stały się tu rozległe dobra pulińskie wzdłuż szosy kijowsko warszawskiej, między Żytomierzem a Zwiahlem. Właściciel ich, znany w naszej lite-

raturze pamiętnikarz, dr. Karol Kaczkowski, zesłany był do Rosji, a majątek jego w ciągu lat dwu musiał być wyprzedany w ręce obce. Kupili go koloniści-Niemcy i osiedlili się tu na stałe.

Czesi zaś nabyli w ten sam sposób w r. 1868 dwa duże majątki marszałka Marcina Zaleskiego, Semiduby i Mirohoszczę w pow. dubieńskim. Za tymi pierwszymi kolonistami przybyły niebawem tłumy innych.

Powtarzamy zatem: żywioł inteligentny w tym kraju tworzą i dziś jeszcze niemal wyłącznie Polacy. Oni stanowią znaczną większość wśród przedstawicieli wolnych profesyj: adwokatów, lekarzy, inżynierów i. t. p. Wystarczy tu może parę cyfr. W Żytomierzu przed wojną na 32 adwokatów przysięgłych było 20 Polaków, na 13 ich pomocników 8 Polaków. W Łucku na 12 adw. przys. było 9 Polaków, a z pośród 11 ich pomocników 9 Polaków. Inteligencja po miastach jest też przeważnie polską. W większym jeszcze stopniu da się to powiedzieć o inteligencji wiejskiej. W towarzystwach rolniczych nawet za czasów rosyjskich pracowali niemal wyłącznie Polacy. Do nich bowiem i dziś jeszcze należy w znacznym stopniu podstawa wszelkiej egzystencji narodowej — ziemia.

II.

Przystępując z kolei do krótkiej charakterystyki obecnego stanu posiadania ziemi na Wołyniu, winienem przedewszystkiem zwrócić uwagę na ogromne szczyrby, jakie w polskim stanie posiadania wyrządziły tu masowe konfiskaty dóbr w okresie tak licznych po upadku Rzeczypospolitej ruchów narodowych. Tuż oto za Bugiem rozpoczynają się obszary dawnej Lubomelszczyzny. Miasteczko Luboml, które za polskich czasów było głównym ośrodkiem starostwa tejże nazwy, na życzenie króla Stanisława Augusta nadane zostało na własność hetmanowi Ksaweremu Branickiemu. Po upływie z górą pół wieku, w r. 1849, rząd rosyjski skonfiskował cały majątek jego wnukowi, również Ksaweremu, za „samowolne opuszczenie granic państwa i udział za granicą w spiskach przeciwko Rosji“. Miasteczko z dwudziestoma czterema wsiami — 17.500 dusz męskich, z górą sto tysięcy morgów ziemi, piękny warsztat pracy dla kilkuset co najmniej ro-



dzin polskich, wszystko to stało się terenem zniszczenia i zażartych doświadczeń rusyfikacyjnych. Niektóre folwarki porozdawano lub posprzedawano za bezcen urzędnikom i generałom rosyjskim, resztę ziemi rolnej rozdano chłopstwu prawosławnemu „na wykup“, a olbrzymie lasy wzięto pod administrację rządową i sprowadzono do nich całą obsługę rosyjską.

Podobny był los Kowelszczyzny. Dobra te, składające się z trzech miasteczek (Kowla, Wyżwy i Milanowicz) oraz dwudziestu trzech wsi, skonfiskowane zostały wraz z 16.197 duszami męskimi głośnemu „emirowi“, Wacławowi Rzewuskiemu, za udział w powstaniu listopadowym.

Nie przytaczamy tu dalszych danych o spustoszeniach, jakie konfiskaty rosyjskie wyrządziły w polskim stanie posiadania na Wołyniu, nadawałyby się bowiem one raczej do osobnej monografii. Zwracamy tylko uwagę na tę okoliczność, że osłabianie siły polskiej w tym kraju odbywało się w ciągu ubiegłego wieku przeważnie drogą brutalnych i bezprawnych nakazów i rozporządzeń rządowych.

Według danych urzędowych z r. 1911, własność t. zw. prywatna obejmowała na Wołyniu 2.819.930 dziesięcin, czyli 43.0 proc. całości kraju, własność nadziałowa włościańska 2.999.861 dzies., czyli 45.7 proc., wreszcie własność państwa, cerkwi i instytucji 653.338 dzies., czyli 9.9 proc. Ogółem obszar Wołynia obliczono na 6.555.827 dzies.

Obliczenie własności polskiej w rubryce własności nadziałowej jest obecnie jeszcze rzeczą niemożliwą. Niewątpliwie jednak i tu pewien obszar należy do Polaków. Wśród własności rządowej największą przestrzeń zajmują lasy, bo aż 378.938 dzies.

Do dóbr apanazowych należy na Wołyniu ogółem 52.932 dzies. Są to trzy duże majątki, nabyte po powstaniu od rodzin polskich, a mianowicie: Klewań i Podłużne w powiecie rówieńskim, nabyte od ks. Michaliny Czartoryskiej, oraz Ostróg, w powiecie tejże nazwy, nabyte od ks. Artura Jabłonowskiego.

Bank włościański w ciągu dwudziestolecia 1883 — 1903 nabył ogółem na Wołyniu 117 tys. dzies.: najwięcej w pow. żytomierskim — 21 tys. dzies., najmniej w pow. ko-

welskim — 2 tys. dzies. W r. 1903 płacił Bank przeciętnie za dziesięcinę 120 rb.

Według obliczeń z r. 1865, do właścicieli ziemskich Polaków należało na Wołyniu 2.776.000 dzies., do Rosjan 167.000 dzies., do żydów 30.000 dzies. Po upływie ćwierćwiecza, w r. 1890, na skutek znanego prawa z r. 1865, zabraniającego Polakom nabywania ziemi, stosunek ten zmienił się już ogromnie. Do Polaków należało wówczas 1.162.000 dzies., do Rosjan 865.000 dzies., do żydów 42.000 dzies. i do Niemców 242.000 dzies. Reszta przeszła do apanaży i w znacznym stopniu na parcelację.

Ścisłejsze już znacznie, choć także nie pozbawione celowych zupełnie opuszczeń (np. własności poddanych zagranicznych, w tym wypadku wyłącznie Polaków) obliczenia, dokonane w r. 1909 dla stołypinowskiego projektu ziemstw, wykazały w ręku polskiem 1.030.927 dzies., czyli 45.7 proc. ogółu własności prywatnej. Należało zatem do Polaków:

W pow. dubieńskim	54.611 dzies.
„ kowelskim	71.830 „
„ krzemienieckim	43.352 „
„ łuckim	77.336 „
„ ostroskim	49.189 „
„ owruckim	74.013 „
„ rówieńskim	170.546 „
„ starokonstantyn.	49.678 „
„ włodzimierskim	92.241 „
„ zasławskim	116.821 „
„ zwiahelskim	128.786 „
„ żytomierskim	102.519 „

Wśród własności polskiej było kilka latyfundiów, stanowiących ordynacje, mianowicie: ołycka w pow. dubieńskim i rówieńskim, własność ks. Ferdynanda Radziwiłła, oraz antonińska i korecka w pow. zasławskim i zwiahelskim, należące do Józefa hr. Potockiego.

Blizsze szczegóły o stanie posiadania poszczególnych narodowości w powiatach Wołynia przyniosły ogłaszane w miejscowym organie rządowym listy wyborców do ziemstw. Z ostatniego takiego wykazu za r. 1914 przytaczamy poniżej garść danych, dotyczących powiatów zabużańskich: w pow. kowelskim było zatem pełnocenzusowych wyborców Polaków (maj. ziemski nie mniej niż 150 dzies. lub nieruchomość w szacunku nie mniej od



7.500 rb.) ogółem 75, w tem 8 wyborców miejskich z Kowla.

Ogólna przestrzeń ziemi, będąca w tym powiecie w ręku Polaków z pełnym cenzusem, wynosiła—63.837 dzies.

Ogólny szacunek nieruchomości, należących do 8 wyborców Polaków w Kowlu wynosił 116.409 rb.

Pełnocenzusowych wyborców narodowości nie polskiej lista urzędowa wymieniła 67.

Wyborców z cenzusem średnim (gruntu najmniej 30 dz. lub nieruchomość wartości 1.500 rb.) było: Polaków 92, w tem 45 z samego Kowla. Ogólna przestrzeń gruntu, posiadanego w tej rubryce—2.950 dz., zaś wartość 45 nieruchomości miejskich—140.626 rb. Wyborców nie-Polaków z cenzusem średnim było 169.

Wyborców z cenzusem drobnym (gruntu od 15 do 30 dz. lub nieruchomość wartości szac. od 750 do 1.500 rb.) było 61 Polaków, w tem 16 z Kowla, nie-Polaków zaś 185.

W pow. włodzimierskim wyborców pełnocenzusowych (roli najmniej 125 dz. lub nieruchomość od 7.500 rb.) było Polaków 88, w tem 7 wyborców miejskich z Włodzimierza; nie-Polaków zaś 73, w tem 6 z Włodzimierza i Uściługa.

Wogóle w posiadaniu pełnocenzusowych Polaków 70.134 dz., zaś Rosjan—41.583 dz.

Szacunek 6 nieruchomości polskich we Włodzimierzu—91.022 rb., zaś 6 rosyjskich we Włodzimierzu i Uściługu—66.063 rb.

Wyborców z cenzusem średnim (gruntu 25 dz. lub nieruch. oszac. na 1.500 rb.) było Polaków 76, w tem 20 wyborców miejskich z Włodzimierza, Horochowa i Uściługa; nie-Polaków zaś 224, w tem 36 wyb. miejskich.

Wyborców z cenzusem drobnym (gruntu od 12½ do 25 dz. lub nieruch. oszac. na 750 rb.) było Polaków 64, innych zaś 410.

Nie chcąc przeciążać artykułu balastem suchych cyfr, nie podajemy już odnośnych danych, dotyczących pozostałych dziesięciu powiatów Wołynia. Jak zresztą wynika z podanych powyżej ogólnych obliczeń, własność ziemska polska jest jeszcze silna w całym kraju i obejmuje bardzo rozległe obszary.

Nietylko zresztą rolnictwo, ale również i wielki przemysł pozostaje tu niemal całkowicie w ręku Polaków. Mówimy o cemen-

towniach i cukrowniach. Tych ostatnich w r. 1916 było na Wołyniu 16, ośm z nich: Klembówka, Korzec, Krasilów, Kremieńczuki, Szepetówka, Szpanów i Zbrucz wraz z wielką rafinerją w Żytynie, było własnością Polaków.

Wojna obecna wywołała już ogromny przewrót w stosunkach. Polskość, duszona dotychczas zapamiętałe, zaczęła tu nareszcie zyskiwać solidniejsze podstawy w rozległej pracy oświatowej wśród ludu. W obrębie specjalnie dwu powiatów: włodzimierskiego i kowelskiego, pozostających już od jesieni 1915 r. w okupacji wojskowej państw centralnych, zaszły zmiany bardzo poważne, które należyćie uwydatniły polski w znacznym stopniu charakter Wołynia. W rozległym czworoboku pomiędzy Opalinem, Kowlem, Włodzimierzem i Uściługiem, ludność polska wynosi obecnie od 65 do 70 proc., gdzieindziej mniejszości polskie wynoszą od 35 do 40 proc. Ogółem w obu powiatach naliczono podczas okupacji do 35 proc. Polaków przy 25 proc. żydów i 40 proc. Rusinów. Jedynie żywioł polski reprezentuje tu obecnie istotną siłę kulturalną. Szkolnictwo polskie na tym obszarze rozwinęło się, pomimo klęsk wojny, w stopniu imponującym. Założono tu w latach 1916—1918 około 50 szkół polskich, w których pobierało naukę z górą 4 tysiące dzieci. Wśród tych szkół była jedna 6-klasowa we Włodzimierzu i jedna 4-klasowa w Kowlu. Ponadto Macierz Szkolna otworzyła i uruchomiła na tym obszarze 30 bibliotek szkolnych, 3 biblioteki wypożyczalnie dla dorosłych, zorganizowała kursy dla analfabetów i t. p. Całość tego wysiłku kulturalnego świadczy wymownie o sile i rozlewności żywiołu polskiego na Wołyniu.

Byłoby rzeczą nad wyraz pilną i potrzebną opracowanie obrazu całkowitego układu sił społecznych i narodowych w tym kraju, oraz bliższe zdefiniowanie polskiego w nim stanu posiadania. Materiałów po temu nie brak. Natomiast brak wciąż jeszcze dostatecznego zainteresowania w stosunku do tych tak ważnych dla przyszłości Polski zagadnień ze strony szerokich kół inteligencji polskiej, które zapominają wciąż o tem, że Polska—nie mieści się bynajmniej w granicach Królestwa Kongresowego.

Witalis.

KOŚCIÓŁ W HAJNIE.

Położona w pow. borysowskim, w ziemi Mińskiej, nad rzeką Hajną, dopływem Berezyny, Hajna nie schodzi dziś z ust ludności polskiej na naszych kresach wschodnich, a to z powodu odebrania schizmatykom, po upływie półwiecza przeszło, starodawnej świątyni katolickiej.

Kościół w Hajnie należy do najstarszych na naszych kresach. Jest to jeden z siedmiu pierwszych tam kościołów, wzniesionych z nakazu Jagiełły, zaraz po zatknięciu na Litwie godła męki Chrystusowej.

Co do roku powstania świątyni w Hajnie, to go niełatwo ustalić ściśle. Długosz, Kromer i Strykowski różnią się ze sobą co

do czasu] wzniesienia tego kościoła, podając już to rok 1387, już to nawet 1389.

Nazwa pierwotna Hajny była podobno inna. Jak twierdzą niektórzy, zwała się Hojną, gdyż hojnie we wszystko obfitowała. Ks. Jan Kurczewski, autor kapitalnej pracy, wydanej w Wilnie w r. 1912, p. n. „Biskupstwo Wileńskie“ w kilku miejscach zwie ją właśnie Hojną.

Zwolennicy tego pochodzenia nazwy dowodzą, że nazwę tę usprawiedliwiałaby i ta okoliczność, że w r. 1514 niezwykle hojnie obdarował ją król Zygmunt I Stary, nadając kościołowi dużo ziemi żyznej.

Początkowa świątynia, drewniana, parokrotnie reparowana gruntownie, przetrwała do r. 1781. Gdy zbutwiała zupełnie, parafianie z ofiar zbudowali dom Boży murowany.

W r. 1867 kościół w Hajnie zabrali samowolnie popi.

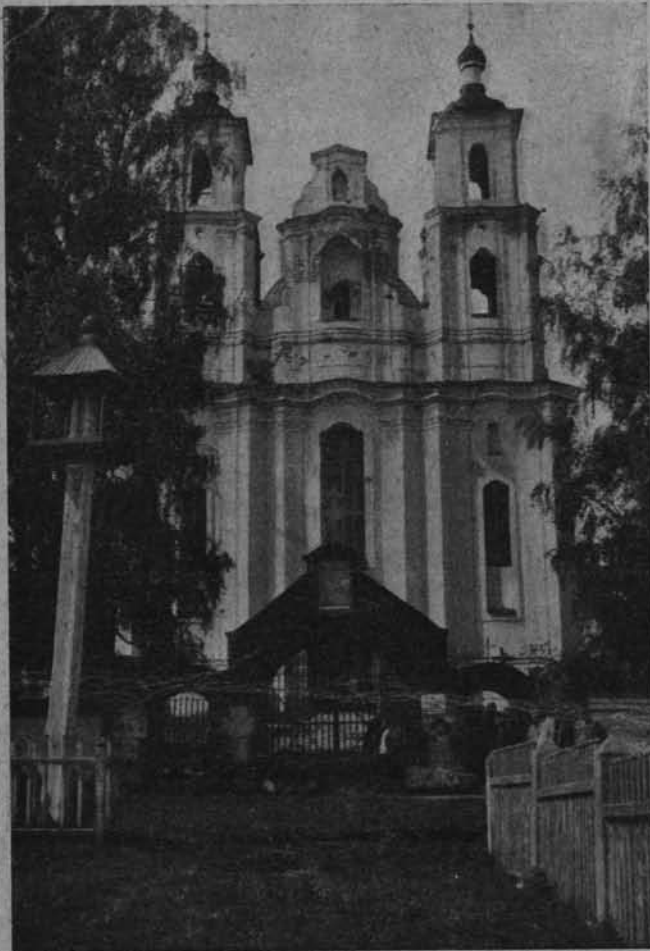
Śród ludności tamtejszej okolicznej dotąd się przechowuje tradycja owych dni bolesnych, gdy ludność z jękiem tarzała się u nóg zaborców, zebrząc litości i błagając o pozostawienie jej świątyni. Bici nahażami „za opór władzy“, parafianie w wielkiej liczbie byli wtedy uwięzieni i wysłani na Sybir.

Położona dziś w obrębie djecezji mińskiej, za czasów Rzpltej znajdowała się Hajna w obrębie djecezji wileńskiej.

Mając kilka sufragani, biskupstwo wileńskie zajmowało — dodajmy — w Rzpltej, przed rozbioremi olbrzymi szmat ziemi: od Dźwiny poza Niemen na południe i od Niewiaży (dopływ Niemna, w pow. wilkomierskim gub. kowieńskiej) aż poza Dniepr na wschód.

Hajna nie należała wtenczas, jak obecnie, do dekanatu borysowskiego, lecz wchodziła do składu dekanatu radoszkowskiego.

O rozmiarach krzywdy, wyrządzonej po powstaniu styczniowym, ludności



fol. ze zbiorów Pol. Tow. Krajozn.

Kościół w Hajnie, pow. borysowski.



katolickiej świadczy fakt, że w chwili zaboru kościoła parafja ta liczyła 1976 głów wiernych.

Zaraz po wygnaniu stąd przez wojska polskie bolszewików w sierpniu r. b., lud-

ność, wygłodzona i umęczona, podniosła sprawę odbioru swej własności zrabowanej. Wieloletnie jej marzenia ciałem się też wkrótce stały.



Wacław Wielecki.

RUINY POLSKI.

Potężna burza dziejowa, jaka od r. 1914 przez lat kilka srożyła się nad naszą ziemią, otworzyła w końcu przed Polską wierzeje wolności. Ale ta wielka chwila zmartwychwstania zastaje nas i nasze dziedzictwo w stanie takiego zniszczenia i spustoszenia, jakiego nie notowały już kroniki od czasu najazdów tatarskich, szwedzkich i moskiewskich w czasie wielkiego „potopu“ nieprzyjacielskiego za panowania ostatniego z Wazów. Padły ofiarą wojny setki tysięcy ludzi, u podstaw podcięty został tak pięknie rozwijający się przemysł, zahamowany został całkowicie postęp rolnictwa, a trzy czwarte, jeśli nie cztery piąte, całego obszaru ziem polskich ogołocone zostało niemal doszczętnie ze wszelkich dawnych zabytków, pamiątek i dzieł sztuki. Od Bzury, Nidy i Dunajca aż hen po Dniepr i Dźwinę padły ofiarą działań wojennych lub też pastwą rozszalałej anarchji niezliczone stare kościoły, zamki i dwory, żywe strażnice dawnych wieków, najcenniejsze pamiątki po wygasłych dawno pokoleniach. Zginęły najczęściej te prastare zabytki budownictwa z całą swą zawartością. Ogień lub ręka zbrodnicza niszczyły i ogałacały je ze wszystkiego: obrazy, rzeźby, zbiory sztuki, archiwa, biblioteki, pamiątki rodzinne, — ulatniały się, jak dym, ze starych siedzib. Całe połacie kraju zamienione zostały wręcz w pustynię.

Najszcześliwiej przetrwały dotychczas wojnę zachodnie dzielnice Polski. Cały bezmała zabór pruski, z wyjątkiem jedynie Pojezierza mazurskiego, które, krótko zresztą, było również terenem działań wojennych, uchronił się jaknajpomyślniej przed bezpo-

średnimi skutkami wojny. Już jednak z byłego zaboru austriackiego tylko drobny, najbardziej na zachód wysunięty skrawek Małopolski, ściśle mówiąc, tylko okolice Krakowa i podgórze Żywieckie ocalały, wraz ze Śląskiem Cieszyńskim, przed łupieżstwem i pożogą wojenną. W byłym Królestwie Polskiem względnie obronną ręką wyszły z całej zawieruchy tylko zachodnie powiaty kraju, oczywiście — z wyjątkiem samego Kalisza. Ucierpiały za to w straszny sposób okolice rzek Narwi, Bzury i Nidy, gdzie niemal wszystkie kościoły i inne zabytki budownictwa zniszczone zostały nieraz aż do fundamentów. I stąd już ku najdalszym wschodnim rubieżom Rzeczypospolitej szła burza wojny, jak jedna wielka fala zniszczenia, omijając szczęśliwie jedynie wielkie miasta: Warszawę, Wilno, Lublin, Lwów. Tu jedynie ocalić udało się nagromadzone cenne zabytki naszej kultury i pamiątki dawnych wieków. Rola ochronna wielkich miast była podczas tej wojny wręcz nieocenioną, choć zresztą, jak wiadomo, i z nich rządy zaborcze powywoziły w ostatniej chwili немало cennych przedmiotów, związanych bezpośrednio z naszą kulturą, jak np. zbiory sztuki z Łazienek lub co najcenniejsze rękopisy z bibliotek uniwersyteckich Warszawy i Wilna.

Zobrazowaniu spustoszeń, dokonanych przez wojnę na ziemiach polskich, a przynajmniej w tej ich części, która należała poprzednio do monarchii habsburskiej lub była w czasie wojny pod jej wojskową okupacją, poświęcona została piękna i pod każdym względem zasługująca na uwagę naszych kół inteligentnych praca p. Tadeusza Szy-



dłowski: „Ruiny Polski”.¹⁾ Autor jej, znany już zaszczytnie ze swych prac poprzednich, jako urzędowy konserwator zabytków sztuki miał sposobność, już po przejściu najgorszych fal wojny, zwiedzić osobiście i opisać oraz sfotografować ogromny obszar kraju, o zabytkach zaś, do których nie mógł dotrzeć osobiście, zbierał jaknajstaranniej wiadomości za pomocą korespondencji. Zebrany przezeń niezmiernie obfity materiał pozwala już na wytworzenie sobie obrazu spustoszeń, dokonanych przez wojnę na tej południowej połaci Polski.

Obraz to niesłychanie bolesny, szarpiący co chwila jaskrawymi szczegółami wrażliwość obywateli tej ziemi, która za taką straszną cenę wydobyła się dziś wreszcie ze szponów swych zaborców i niszczycieli.

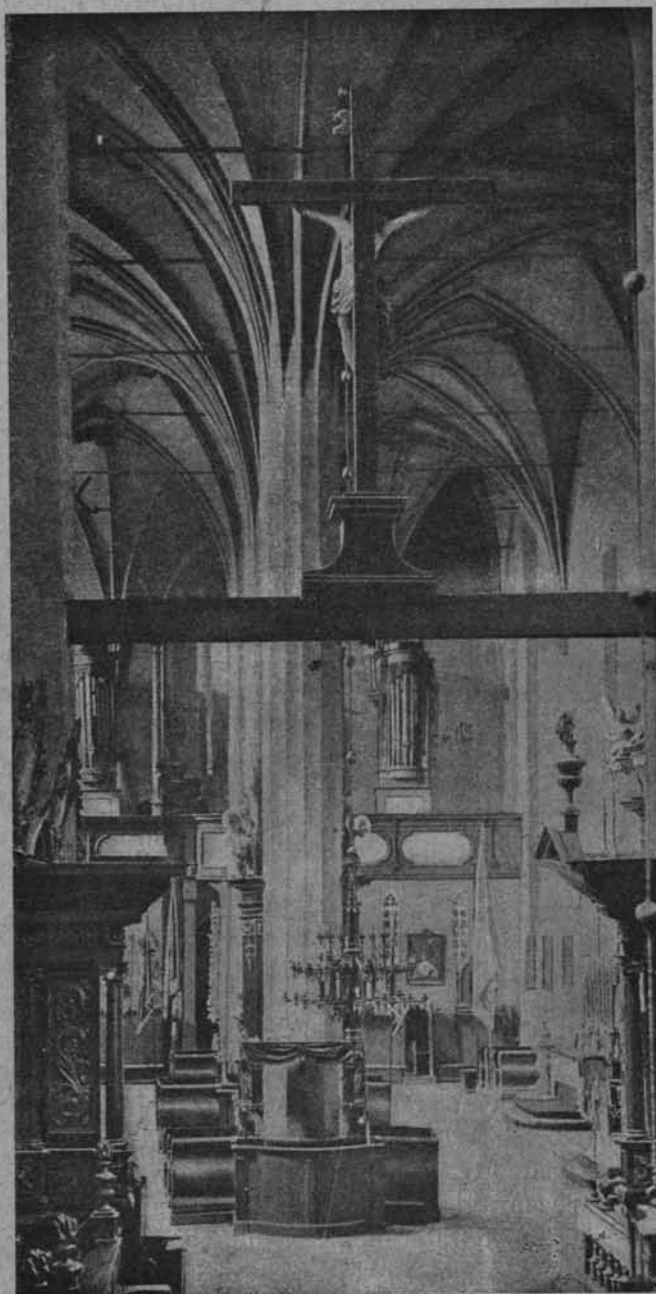
„Ocenić ogrom klęski, jaka spadła na Polskę wśród tego żywiołowego kataklizmu — pisze d-r Szydłowski — zdoła tylko ten, kto choć część kraju przejechał z miejsca na miejsce jeszcze za świeżych śladów i w krwawiące się rany patrzeć się umiał współczującą żrenicą. Dziś już zabił się wiele tych ran, zaginęły zgliszcza wielu pogorzelisk, uprzątnięto niejedne ruiny, a najdokładniejsza statystyka zniszczeń nie ma wstrząsającej siły ponurego obrazu, jaki się rysował w pierwszych latach wojny. Szalone odmęty orkanu, przewalające się tam i z powrotem po ziemi polskiej, nie oszczędzały oczywiście pomników sztuki, starodawnych kościołów, zamków, pałaców, zabytków budownictwa drewnianego, zbiorów sztuki i wszystkich tych skarbów, które składają się razem na całokształt kultury narodu. Powiedziećby nawet można, że wojna niejednokrotnie jakby się wysilała w tym kierunku, by te właśnie objawy zniszczyć i zatrzeć obraz polskiej przeszłości... Prowadzona była ta wielka, światowa wojna z obu stron walczących w sposób najbardziej brutalny i barbarzyński. Fałszem okazało się sławione złagodzenie obyczajów dzięki i wyuzdanej soldateski, jakie zdawał się przy-

nosić wiek XIX. Przynajmniej w Polsce armje wojujące najczęściej wcale nie krępowały się kulturalnymi względami... Żadna polska własność prywatna nie miała w oczach walczących tytułu do poszanowania. Na nic zdały się wszelkie międzynarodowe konwencje genewskie, brukselskie i haskie, a w szczególności te postanowienia o ochronie dzieł sztuki w czasie wojny, jakie w nich były uchwalone pod wpływem ruchu na polu opieki na zabytkami, tak silnie rozbudzonego pod koniec XIX wieku. W Polsce niszczone i łupiono wszystko bez wyjątku, sprzęty, dzieła sztuki, biblioteki, — w pałacach i dworach, w domach miejskich, a nawet w kościołach. Co jeszcze ocalało po półtorawiekowych grabieżach zaborców, usiłowano wywieźć teraz, jako łup wojenny do ościennych krajów“.

Cały szereg jaskrawych, wprost krzyżujących przykładów przytacza d-r Szydłowski w swej książce na poparcie twierdzeń powyższych. Oto np. cofające się z Królestwa w roku 1914 wojska austro-węgierskie wysadzały w powietrze wieże w obawie, by z nich nieprzyjaciół nie mógł obserwować odwrotu. Wtedy utracił swą wieżę ratusz w Szydłowcu i kościół Świętego Krzyża na górze Łysicy. Kościołków drewnianych, cerkwi, bóżnic, spalono z rozmysłu cały szereg. Ostrzeliwano prawie z reguły wszelkie kościoły, nawet w wypadkach, kiedy notorycznie nie mogły być wyzyskane pod względem militarnym przez przeciwnika. Z klęsk wojennych jedną z najcięższych, najdokuczliwszych był kwaterunek wojskowy, równoznaczny najczęściej ze zniszczeniem i grabieżą. Kwaterunek ten dotknął szczególnie wiejskie pałace i dwory i spustoszył do reszty szereg zamków w ziemi Czerwieńskiej. Nie tylko bowiem, że wydzierano i wyrąbywano ze ścian, co się tylko dało, lecz jeszcze burzono budynki przy odwrocie. Tak np. wojska rosyjskie podpaliły królewski zamek w Żółtkwi lub piękny zameczek w Świrzu, rozebrały dachy zamków w Brodach i Zbarażu i t. p.

Spróbujmy jednak za d-r Szydłowskim rozejrzeć się nieco dokładniej w rozmiarach i wartości poniesionych strat na opisanym przezeń obszarze, czyli w Małopolsce i ziemi Czerwieńskiej.

¹⁾ D-r Tadysz Szydłowski: „Ruiny Polski”. Opis szkód wyrządzonych przez wojnę w dziedzinie zabytków sztuki na ziemiach Małopolski i Rusi Czerwonej. Z 227 rycinami i mapką orientacyjną. Wydane z zasiłkami Namiestnictwa i Wydziału Krajowego we Lwowie. (Kraków 1919)



Wnętrze kolegiaty w Wisłicy przed zburzeniem.

Z książki T. Szydlowskiego
„Ruiny Polski”.

Rozpatrując zniszczone i zburzone zabytki chronologicznie według epok, za najdotkliwszą stratę wśród budowli, powstałych u nas w okresie panowania sztuki romańskiej, uznać należy całkowite niemal zniszczenie pięknego kościoła w Koprzywnicy pod Sandomierzem. Stara ta budowla, ukończona prawdopodobnie około roku 1218, przebudowana była wprawdzie w końcu XVII wieku w stylu barokowym, mury jednak i wnętrze

kościola pozostały niemal nietknięte od owych najdawniejszych czasów. Pod pociskami działowymi, spłonęły dachy, spękały górne części ścian, runęła — co najważniejsza — przepiękna barokowa wieżyca kościelna. „Wśród hełmów wieżowych — pisze d-r Szydlowski — w której to dziedzinie umiała epoka baroku wydobyć wiele oryginalnego piękna i stworzyć szereg kształtów bujnych i wdzięcznych, był to niezawodnie jeden z najcelniejszych. Niełatwo można by znaleźć formę równie fantastyczną, równie subtelną w rysunku i bogatą w szczegóły. Nazywano tę wieżę „kulawikiem“ czy „kulawką“, gdyż przypominała swym kształtem odwrócony dnem do góry kielich bez nóżki, taką noszący nazwę. Z tą genezą kształtu wiązała się nawet miejscowa legenda, stąd brak tej wieży będzie w Koprzywnicy niezawodnie silnie odczuwany“. Pomimo ogromnych szkód, jakie poniósł ten kościół, stwierdzić należy, iż najważniejsze pod względem swej wartości zabytkowej jego wnętrze romańskie ocalało na szczęście prawie w zupełności.

Uległ dalej pożarowi na skutek wypadków wojennych kościół w Jędrzejowie, który był pierwszym co do czasu z pośród okazałych budowli cysterskich w Małopolsce. Przebudowany całkowicie w ciągu wieku XVIII, kościół ten stracił jednak już dawno główną swą wartość zabytkową.

Inny cenny zabytek budownictwa romańskiego po cystersach, opactwo sulejowskie, chociaż przez wojnę nie uszkodzone, znajduje się w stanie bardzo opłakanym. Posłuchajmy co pisze o nim d-r Szydlowski: „Zdała się widnieć na wzgórzu nad Pilicą baszty i mury średniowiecznego jakby grodu czy miasteczka. Jest dużo malowniczości, uroku i romantycznego piękna w tej sylwecie. Lecz zbliżając się, dostrzegamy ze smutkiem lichy stan dachów poszczególnych budowli, opuszczenie i zaniedbanie, które zewsząd wyziera. Z dawnego, bardzo urozmaiconego kompleksu murów obronnych, baszt, budynków gospodarskich i mieszkalnych, została już nieledwie połowa, z reszty

gruzy tylko i zwaliska. Zwolna wszystko w ruinę zdaje się obracać, a przecież zachowanie takiego niesłychanie ciekawego, monumentalnego obrazu, będącego fragmentem historii i cywilizacji w Polsce, winno być usilnem dążeniem każdego kulturalnego społeczeństwa. Niedługo przed wojną powstał nareszcie pomysł bardzo szczęśliwy obrócenia całej tej grupy zabudowań pocysterskich na szkołę rolniczą. Przy racjonalnem odrestaurowaniu mogłaby ta cenna, zabytkowa całość, doskonale być uratowana dla przyszłości. Wojna odwlekła niestety wykonanie projektu.

Z innych zabytków epoki romańskiej pewnych uszkodzeń doznał również stary kościół pofranciszkański w Zawichoście. Ocalały natomiast szczęśliwie: przepiękny kościół św. Jakóba w Sandomierzu, okazała kolegiata w Opatowie, świątynia w Żarnowie, ciekawa, jako przykład kościoła obronnego, dalej monumentalne budowle poklasztorne w Wąchocku, kościoły romańskie w Prandocinie, Wysocicach, Kościelcu i in. Na ogół stwierdzić wypada, że nieliczne już w Polsce pozostałości najdawniejszej sztuki budowlanej romańskiej w znacznej większości ocalały szczęśliwie wśród wydarzeń pięciu lat ostatnich.

Bezporównania gorzej rzecz się ma z zabytkami sztuki gotyckiej u nas. Najboleśniejszą stratą — jak pisze p. Szydlowski — jest tu zniszczenie najwspanialszego i najcenniejszego okazu i pierwowzoru świątyń dwunawowych, a zarazem jednego z najtęższych dzieł architektury gotyckiej w Polsce: ciosowego kościoła w Wiślicy nad Nidą. Był to niegdyś ważny gród królewski, znany ze zjazdów i wiekopomnych statutow. Z dawnej świetności pozostał w XIX wieku jeno kościół pokolejjacki,

dzwonnica i plebanja, które wraz z murem je okalającym stanowiły zamkniętą w sobie zwartą całość średniowieczną. Fasadę zewnętrzną kościół wiślicki miał skromną, ale wewnątrz nawy wywierało urok niezwykle majestatycznym pięknem sklepień, rozpiętych na trzech wyniosłych kolumnach. Było to wogóle jedno z najbardziej interesujących wnętrz kościelnych w Polsce.

Dziś zostało z niego jeno straszliwe zwalisko gruzów i szkielet ścian. Przez pięć miesięcy, od grudnia 1914 r. do maja 1915 r., waliły w tę świątynię pociski artylerji austriackiej, usadowionej po za linią okopów na prawym brzegu Nidy, aż w końcu dokonały dzieła zagłady. Ten znakomity zbytek średniowiecznej architektury w Polsce jest dziś nędzną ruiną. Ocalała tylko pamiątkowa tablica erekcyjna i cenny posąg



fol. ze zb. Tow. Op. n. Zab. Prz

Wnętrze kolegiaty w Wiślicy po zburzeniu

z końca XIII wieku, t. zw. Madonna Łokietkowa, którą zawczasu wywieziono z kościoła i schowano w bezpieczne miejsce. Stosunkowo najmniej ucierpiała cenna również, jako zabytek, plebanja, zwana „domem Długosza“, gdyż przez niego była zbudowana.

Z innych zniszczonych lub uszkodzonych świątyń z tej epoki w Małopolsce wymienić należy kościoły: w Starym Korczynie, gdzie od pocisków armatnich runęło sklepienie prezbiterjum, w Wawrzeńcyczach, gdzie spłonęły dachy i wypaliło się całkowicie wnętrze nawy wraz z urządzeniem, dalej w Radłowie w pobliżu Tarnowa i w Szczepanowie oraz w Radomskim m. in. kościoły w Siennie, Kłwowie i Falkowie.

Ale ta fala zniszczenia, jaka w perzynę obróciła mnóstwo najpiękniejszych zabytków sztuki kościelnej w Małopolsce, nie ograniczyła się bynajmniej do granic tej naszej dawnej dzielnicy. Nie lepiej, a może nawet gorzej jeszcze wygląda stan obecny naszych świątyń za Sanem w ziemi Czerwieńskiej. Do cna niemal zburzony został skutkiem ostrzeliwania artylerji stary, niezwykle piękny zabytek budownictwa z epoki jeszcze romańskiej, mianowicie kościół św. Stanisława pod Haliczem. Tak samo dotkliwych krzywd doznała jedna z najstarszych i najcenniejszych pod względem nagromadzonego bogactwa dzieł sztuki świątyń prowincjonalnych, — kościół w Felsztynie. Runęło tu m. in. stare gotyckie sklepienie w prezbiterjum, pokryte polichromją, pochodzącą zapewne z początku XVI wieku.

Pod względem ilościowym znacznie jeszcze więcej strat poniosła nasza sztuka architektoniczna kościelna z czasów nowszych, z epoki renesansu i baroku. Dość tu wymienić cały szereg kościołów i klasztorów w Jarosławiu, spalony renesansowy kościół w Sieniawie, przepiękne barokowe wnętrze kościoła w Podkamieniu, zniszczone niemal całkowicie świątynie w Bołszowcach pod Haliczem, w Bohorodczanach i t. d. i t. d. Niemniej strat, niż ziemia Czerwieńska, poniosła tu i Małopolska. Pociski armatnie pogruchotały np. dachy i mury starego opactwa benedyktyńskiego w Sieciechowie, wysadzona została w powietrze wyniosła wieża innego opactwa benedyktyńskiego w Świętym Krzyżu na Łysej Górze, spłonął pię-

kny kościół w Narolu koło Tomaszowa lubelskiego i wiele, wiele innych.

Osobno rozpatrzyć należy straty w budownictwie drewnianem. Nieliczne już jego okazy pozostały na ziemiach polskich, najwięcej stosunkowo na Podkarpaciu. Największą stratą zabytkową ponieśliśmy przez barbarzyńskie zniszczenie starodawnego kościołka w Sękowej koło Gorlic. Był to jeden z najpiękniejszych zabytków tego typu. Dziś znikła ta pełna niepospolitego uroku drewniana sylweta. Rzecz charakterystyczna: zniszczenia tego dokonały w kraju, należącym wówczas do monarchji austro-węgierskiej, jej własne wojska, mimo oficjalnie od tylu lat istniejącej opieki nad zabytkami. Rozebrali zatem żołnierze na opał czy na budulec najpierw podcienia, okalające ściany kościołka, następnie rozebrali doszczętnie zakrystję, a z nią cenne odrzwia starodawne, z których dziś nie pozostało ani śladu. Ci sami żołdacy grasowali jaknajbrutalniej we wnętrzu kościoła, niszcząc wszystko, co im pod rękę podpadło: rozbijali zatem ołtarze, tłukli wszelkie sprzęty, zrabowali zapewne obrazy, darli chorągwie i paramenty. Z całego urządzenia pozostały tylko okruchy.

Z innych drewnianych świątyń spłonął całkowicie kościół w Pobiedniku Małym,



Portal kościoła w Kościelecu, pow. miechowski.

fol. St. Thugutt.



stary kościółek w Otfinowie rozebrały wojska rosyjskie na opał, zrównane zostały z ziemią kościoły w Ciepeliowie, Jarosławicach, Libiszowie i in., a niemało ucierpiały i pozostałe niemal wszystkie drewniane świątynie polskie. Niemało jest również spalonych, lub przynajmniej poważnie uszkodzonych cerkwi unickich w ziemi Czerwieńskiej. Z pośród starych drewnianych bóżnic zniszczone zostały na obszarze południowych dzielnic Polski interesujące budowle w Gwoźdźcu, Felsztynie, Krzeszowie i Żółkiewce.

Niemniej dotkliwe straty poniósł kraj nasz skutkiem zniszczenia mnóstwa cennych pod względem architektonicznym lub pamiątkowym budowli świeckich. Z pośród starych zamków, wymownych świadectw dawnej chwały i potęgi polskiej, wiele najpiękniejszych zabytków rozpadać się zaczyna w gruzy naprawdę dopiero teraz. Tak samo zrujnowanych zostało skutkiem wojny, nieraz doszczętnie, mnóstwo pięknych pałaców i starych pamiątkowych dworów. Są to wszystko straty bolesne i już wręcz nie do naprawienia. Wynotujmy choć niektóre z nich w zwięzłym zestawieniu.

Tak więc zestrzelona została górna część środkowej z wież zamku w Chęcinach. W Krupem koło Krasnegostawu zwała się wskutek ostrzeliwania główna część wcale ozdobnych i attykami przystrojonych murów frontowych. Ucierpieć miały nieco przez wojnę wspaniałe ruiny Janowca. Najbardziej może spustoszony i zrujnowany został wspaniały renesansowy zamek w Brzeżanach. Pociski armatnie porobiły tu olbrzymie wyłomy w starych, lecz mocnych jeszcze murach. Pozapadały się lub spłonęły na całym niemal gmachu dachy i stropy. Jedna z najświetniejszych budowli zamkowych w Polsce, zachowana do ostatnich czasów w stanie zupełnie dobrym, stała się dziś ruiną.

Tak samo w ruinę zamieniony został zamieszkały do czasu wojny ostatniej piękny zameczek w Laszkach Murowanych w pobliżu Sambora, dawna siedziba Mniszchów. Pociski zniszczyły całkowicie dachy, wyrwały w ścianach olbrzymie wyłomy, spustoszyły zupełnie wnętrza, zdruzgotały klatkę schodową i w niektórych salach zrzuciły sklepienia. W ten sposób rozbita, a kilka już zim nie przykryta budowla rozlatuje się

coraz bardziej i skazana jest niezawodnie na zagładę.

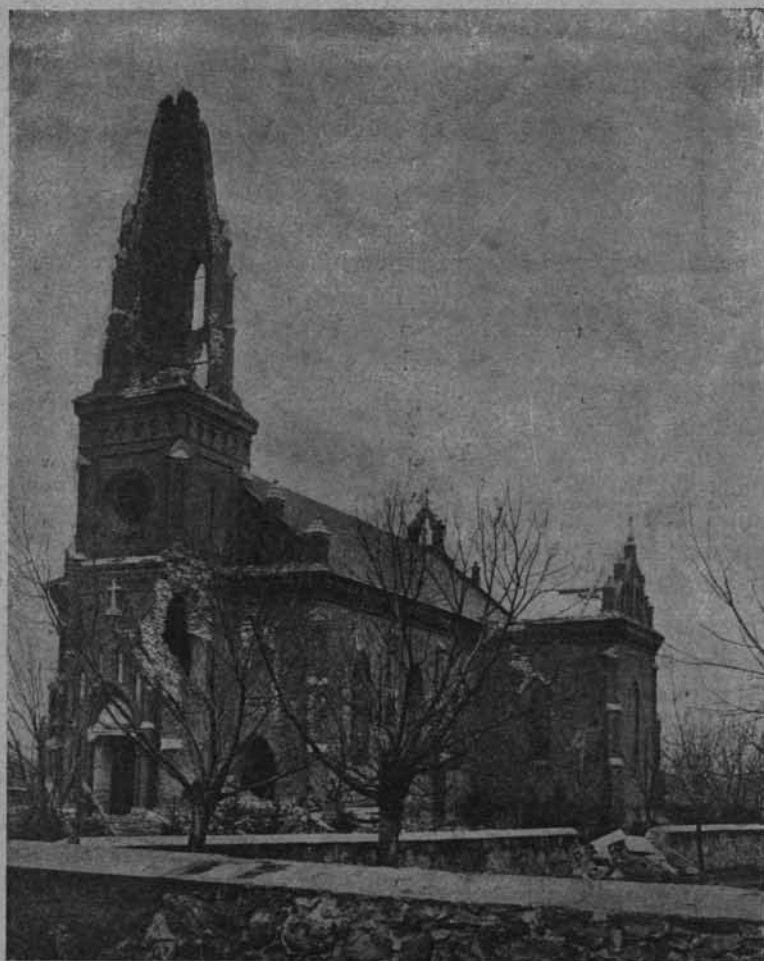
Spłonął również podczas wojny sąsiadujący z Laszkami stary zameczek po Kinitach w Lisku, przebudowany częściowo na pałac nowoczesny już w połowie XIX wieku.

Stosunkowo obronną ręką wyszedł z przepraw wojennych zamek w Krasieczynie pod Przemyślem. Nie ma on sobie prawie równych w całej Polsce pod względem architektury i wytworności dekoracji. Uszkodzona tu została skutkiem ostrzeliwania przepiękna kaplica zamkowa, prawdziwy klejnot artystyczny z początku XVI wieku. Nadwerżona została również wieża zegarowa. Suma szkód wojennych w zamku krasieczyńskim — zdaniem p. Szydłowskiego — nie byłaby tak dotkliwa, gdyby nie lichej stan jego konserwacji już przed wojną i gdyby nie coraz cięższe stosunki budowlane, które utrudniają przeprowadzenie koniecznej restauracji.

Smutny jest bardzo obraz obecnego stanu dwóch starych zameczysk, związanych z pamięcią pięknych i tyle zasłużonych nazwisk Żółkiewskich i Sobieskich. Zamek w Żółkwi spalony i zrujnowany został podczas wojny niemal doszczętnie. Zamek w Olesku nie był wystawiony na działanie artylerji, ale ucierpiał bardzo dotkliwie skutkiem kwaterunków wojsk rosyjskich i rozmaitych barbarzyńskich, celowo dokonywanych aktów niszczycielskich.

Inny cenny, ogromnej wartości, skutkiem nagromadzonych bogactw muzealnych, zabytek, mianowicie zamek w Podhorcach wyszedł z niebezpieczeństw wojennych względnie obronną ręką, choć i tu oczywiście nie obyło się bez szkód dotkliwych. Wymienione ostatnio zabytki budownictwa zamkowego w Polsce pozostawały, niestety, już po napisaniu omawianej książki przez p. Szydłowskiego, przez czas wielu miesięcy we władzy Ukraińców. Obawiać się zatem należy, iż zniszczenie ich w tym okresie posunęło się znów znacznie naprzód.

Zamki i pałace w ziemi Czerwieńskiej poniosły naogół podczas wojny szkody niepowetowane. Wiele z nich zrujnowanych jest zupełnie, jak np. odrestaurowany przed wojną zamek w Zawałowie nad Żółtą Lipą, lub niemniej interesujący i cenny zamek w Świrzu, niedaleko od Lwowa.



Zbombardowany kościół we wsi Wronie, w pow. białskim. *Źródło: ze zb. Tow. Op. n. Zab. Prz.*

Ze starych dworów polskich wymienić należy znany dwór w Rogowie, w pobliżu Wisły, stanowiący przed wojną najpiękniejszy bodaj na całym obszarze ziem polskich okaz starego budownictwa wiejskiego. Sam budynek wprawdzie ocalał, ale wewnątrz jego spustoszone zostało niemal zupełnie. Zniszczone zostały dalej piękne pałace w Czarakowach nad Nidą, w Łabuniach pod Zamościem, w Zawadzie niedaleko Tarnowa i wiele, wiele innych. Samo krótkie wyliczenie ich zajmuje kilka stron w pracy p. Szydłowskiego. A wszak pamiętać należy, iż autor, jak to już zaznaczyliśmy poprzednio, zajmuje się tylko obszarem byłej Galicji oraz południowej części dawnego Królestwa Polskiego. Obraz zniszczeń w północnej części Kongresówki, i na obszarach Litwy historycznej będzie niewątpliwie naogół niemniej dla serca polskiego bolesny. Szczególnie zni-

szczone przez wojnę są tu, jak wiadomo, linje rzek Bzury i Narwi. Poza linją zaś dawnych okopów niemiecko-austriackich na Litwie i Wołyniu padły ofiarą rozpetanych instynktów niszczycielskich żołnierzy rosyjskich i ludu wiejskiego niezliczone dwory i rezydencje polskie, obfitujące nieraz w nieocenione wprost skarby muzealne, archiwalne i biblioteczne. Wystarczy wymienić na tem miejscu Nieśwież radziwiłłowski i sanguszkowską Sławutę. Z miejscowości tych, o ile wiadomo, większość najcenniejszych zabytków wywieziono zawczasu do większych miast. Czy jednak ostaną się one tam wobec powszechnego rozpasania, czy nie padły już pastwą grabieży? A co stało się ze skromniejszymi, ale również wielką dla nas wartością mającymi zbiorami po ś. p. Aleksandrze Jelskim w Zamościu pod Mińskiem lub po ś. p. Eustachym Iwanowskim w Chałaimgródce pod Berdyczowem? Byłoby zadaniem wielkiej doniosłości dla naszych władz na Wschodzie opracowanie inwentarza strat, jakie poniosły już ziemie tamtejsze, czy to w postaci zniszczenia zabytków architektonicznych, czy to w postaci wywiezionych lub zniszczonych zbiorów i zabytków, zarówno publicznych, jak prywatnych. Nie wchodziła tam przeważnie w grę niszczycielska robota ognia działowego, to też kościoły, zamki i inne budowle murywane, choć nieraz zniszczone wewnątrz, ocalały niemal wszędzie. Zginęły natomiast bezpowrotnie te niezliczone, tak nieraz piękne i charakterystyczne w swej prostocie dwory ziemiańskie, czasem zburzone, czasem spalone, niekiedy wprost rozebrane na opał. Stan rzeczy jest tem smutniejszy, że obecne przewroty społeczne, nieuregulowane stosunki przemysłowe, brak materiałów i tym podobne przyczyny wciąż opóźniają należyte zainte-

resowanie się ogółu tą sprawą tak ważną dla całokształtu naszego rozwoju cywilizacyjnego.

„Maluje się nam przed oczyma — pisze d-r Szydłowski — obraz ponury. Idealny gmach starodawnej świątyni polskiego ducha, „Akropolis polskie“, zdaje się chylić ku ostatecznej ruinie. Potężne uderzenia dziejowej nawałnicy zerwały prawie dach, zatrzęsły się wyniosłe kolumny, dużo już złomów leży w pyłe. W gruzach znajdują się fragmenty cennych rzeźb, ze ścian odlatują tynki z świetną dekoracją malowaną, wicherszyszcze w szczelinach! Czy zdołamy powstrzymać postęp dalszej ruiny, czy utrwalimy i umocnimy dochowane resztki i na ocalonych fundamentach wzniesiemy wolnego ducha polskiego świątynię? Trzeba koniecznie, żeby tak było, że wszystkich sił do tego nam dążyć należy! Z radości życia w oswobodzonej, niepodległej Polsce wyrosną chyba potężne porywy ku tym celom wielkim i świętym i ocalą relikwie przeszłości, jako cenne palladia dalszej żywotności narodu.

„Dla ich ochrony winniśmy podjąć akcję

natychmiastową, bardzo wyteżoną. O nagłość i niezbędną konieczność działania woła dzisiejszy, iście rozpaczliwy stan zabytków, których doniosłość dla całej przyszłej kultury nie może głębiej patrzącym być wątpliwą. Jest nieodzowne, by wielkie znaczenie tego postulatu stanęło jasno przed świadomością polskiego ogółu, na którego istotnem zainteresowaniu i czynnem współdziałaniu cała akcja musi się opierać, a wypływać z pełnego zrozumienia, że zatarata zabytków grozi zanikiem oryginalnego, narodowego charakteru, zatarciem wszelkiej indywidualnej fizjognomji kraju i co do bezmiarów swej szkodliwości z całkowitą zagładą literatury stanęłaby prawie na równi“.

Tak jest niewątpliwie. To też gorące słowa autora pięknej, choć smutnej książki o „Ruinach Polski“ powinnyby znaleźć należyty odzew wśród kół lub choćby tylko jednostek, rozumiejących doniosłość pierwiastków sztuki i czynników tradycji w wychowaniu narodowem. Trzeba przynajmniej ze zbrozną czią ratować to, co dziś nam jeszcze pozostało.



Stanisław Wołosowicz.

POKŁADY GLINKI BIAŁEJ W POW. WŁODAWSKIM.

W końcu września i początku października r. b. badałem z polecenia Państwowego Instytutu Geologicznego pokłady białej glinki, znajdujące się w obfitości pod m. Ostrowem w pow. włodawskim. O istnieniu tych pokładów wiedzano oddawna. Na krótko przed wybuchem wojny inżynierowie francuscy dokonywali badań i zamierzali rozpocząć eksploatację glinki na wielką skalę. Miała być wybudowana fabryka na gruntach majoratu

Nabokowa. Wybuch wojny pokrzyżował te plany. Nie zdołano nawet wzniesić pawilonu fabrycznego.

Rezultaty badań inżynierskich, o ile mi wiadomo, nie zostały opublikowane w żadnem czasopiśmie technicznem. Zatem właściwie nie istnieje jeszcze zupełnie literatura naukowa, odnosząca się do terenu omawianego.

Pokłady glinki białej występują w tak zwanych „odkrywkach“ czyli w naturalnych



obniżeniach gruntu w kilku miejscach. Najważniejsze leżą: 1) Na gruntach, należących do mieszczan osady Ostrowia—na brzegu bagniska, służącego w lata suche, jako pastwisko. W tym miejscu, oddalonym o 2 kilometry od osady, glina występuje na głębokości 2-ch łokci pod warstwą już to piasku morenicznego, już to torfu, zdatnego na opał. Powierzchnia bagniska jest niższa mniej więcej o 5 metrów od otaczających wzniesień—jest to bagno zakłębłością gruntu, dnem dawnego jeziora glacialnego, którego wody w pewnej mierze wyschły, częściowo zaś spłynęły do pobliskiej Tyśmienicy. Dno bagniska w niektórych miejscach pokryte jest torfem, w innych zaś—utworzone z gliny, występującej tu bez przykrycia. Podobne odkrywki w liczbie trzech znajdują się na przeciwnym (północnym) brzegu bagniska, zasadniczo niczem się one nie różnią od opisanego wyżej. 2) Na gruntach wsi Tyśmienicy, o 7 kilometrów od Ostrowia, pokłady gliny zajmują znacznie większą przestrzeń. Tu warstwy moreny zostały splukane wodami polodowcowymi Tyśmienicy, wskutek czego odsłonięte zostało podłoże, zawierające glinę. Ten pokład głównie miano na uwagę dla eksploatacji. 3) Jeszcze jedna odkrywka znajduje się w niewielkiej odległości od poprzedniej w lesie majorkim.

We wszystkich wyżej opisanych odkrywkach dają się zauważyć cechy wspólne, a są nimi: jeden poziom, na jakim się znajdują, ich skład petrograficzny oraz ich plastyczność. Niestety, niemożliwość dokonania głębokich wierceń na terenach, przykrytych osadami dyluwialnymi (morena górna i dolna z Polandien) nie pozwala stwierdzić stanowczo, czy wszystkie te odkrywki, rozrzucone na przestrzeni około 15 kilom. □, sta-

nowią jedną całość—czy też odosobnione pokłady. W pierwszym wypadku należałoby uważać warstwy gliny, jako substratum osadów dyluwialnych—zatem jest to podłoże kredowe. W drugim zaś—mniej prawdopodobnym ze względu na jeden poziom i rozległy teren odkrywek—mogłyby to być tak zwane „kry“ czyli kawałki skał pochodzenia morskiego, porwane przez lodowiec i zawleczone z północy. Osobiście stanowczo przychyliam się ku pogładowi, że odkrywki gliny białej nie są niczem innym, jak podłożem kredowym. Jest to tembardziej prawdopodobne, że występują one, jak już zaznaczyłem wyżej, w naturalnych zakłębłościach gruntu, wytworzonych pod wpływem erozji wód glacialnych—to jest tam, gdzie cienka w tym miejscu pokrywa dyluwialna została splukana. Gdyby to były kry, ich obszar byłby mniejszy. Pogład ten nie wytrzymywałby żadnej krytyki, gdyby przy wierceniu świdrowem¹⁾ okazało się, że pod warstwą gliny, mniej lub więcej grubą, spoczywa dyluwium. Wtedy jasna rzecz, że byłyby to „kry“ ale nie podłoże kredowe. Dowodów niezbitych ani za ani przeciw jednak nie mamy ze względu na brak otworów świdrowych, dostatecznie głębokich.

Jaka jest wartość ekonomiczna gliny z nad Tyśmienicy—o tem nie śmiem wydać sądu. Przypuszczam jednak, iż nadaje się ona do wyrobu fajansu. Gruba warstwa gliny, koloru szarego, bardzo lepka, może być użyta do wyrobu cegieł. Dotychczas jedynie okoliczni wieśniacy używają tej gliny do bielenia swych chat, stąd wszystkie wsie pobliskie mają ładny wygład.

¹⁾ Podobno inżynierowie francuscy dokonywali wierceń, jednak obecnie żadnych śladów tego nie zostało.



Adam Chętnik.

LIGAWKA KURPIOWSKA.

Według opisu Z. Glogera ligawka należy do najstarszych instrumentów polskich: już w wiekach X i XI miała być u nas używana. Nazwa jej pochodzi od legania czyli opierania jej np. na płocie podczas trąbienia, długa bowiem na parę łokci trąba jest ciężka, trudno byłoby ją bez oparcia utrzymać, a tembardziej na niej zagrać. W różnych stronach Mazowsza w czasie adwentu rozlega się głos ligawki; głos ten jest tak doniosłym, że na kilka wiorst go słychać.

Ligawkę robi się z drzewa sosnowego, świerkowego lub nawet gałęzi wierzbowej. Sęków nie powinno być żadnych. Gałąź, grubsza w jednym końcu, oczyszcza się z kory i urzyna równo z dwóch stron, po czem rozszczepia się wzdłuż przez sam rdzeń z częścią drzewa tak, ażeby pozostały tylko niegrube ścianki. W grubszym końcu żłobienie jest znacznie szersze. Wyżłobione połowy, jakby małe rynny, składane są tak, jak były przed rozszczepieniem, i związawszy nieco pozostawia się do przeschnięcia, po czem skleja się czemś niebojącem wilgoci np. żywicą, smołą szewcką i t. p. Do trąby takiej w cieńszym jej końcu przyprowadza się ustnik czyli munsztuk, zrobiony z twardego drzewa, jak dąb, grab, grusza lub z czubka rogu bydlęcego.

Ligawki spotykamy na Podlasiu, Litwie, na Kujawach i Kurpiach. Ligawka podlaska (rys. 1) jest krótka i używana bywa często przez pastuchów. Litewskie są długie i dla mocy okręcone łykiem drzewnym. Ligawki kurpiowskie używane są tylko w czasie adwentowym rano i wieczorem codziennie i ostatni raz podczas pasterki przed kościołem.

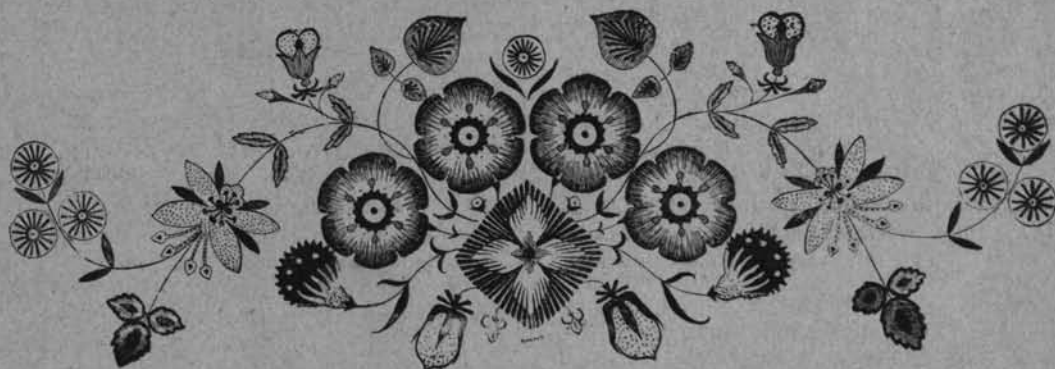
Ligawka kurpiowska jest długa do 3-ich łokci, wyżłobiona często z grubego bezsękatego korzenia sosny. Po wysuszeniu i sklejeniu ligawkę taką okręca się cienkimi i długimi korzeniami, takimi, z jakich plotą koszyki (rys. 2). Korzenie te kopane są w borach, a mogą być sosnowe lub jałowcowe. Z braku korzeni okręcają całą trąbę sznurkiem, wysmarowanym smołą.

Tony ligawki są rozmaite, zależnie od siły dęcia i wymiarów. Im ligawka dłuższa, tem tony ma wyższe, więcej rozległe i grać na takiej lżej, niż na krótkiej. Tony sięgają nieraz paru oktaw, ale nie stanowią nigdy gamy w porządku chromatycznym.

Ligawki spotyka się teraz coraz rzadziej; niedawno zaczęto do nich przyprowadzać munsztuki mosiężne fabryczne, a dziś już ci sami grają pobudki adwentowe na kornetach. I tu już wkroczyła „nowa kultura“.



Ligawka kurpiowska.



Z NASZEJ TURYSTYKI.

Marjan Mechowicki.

Z PODRÓŻY DO AUSTRALJI.

6)

(DOK.)

Melbourne zawdzięcza swe powstanie i początkowy rozwój dogodnemu na nieduży port ujściu rzeki Yarra lub Yarra-Yarra.¹⁾ Stary ten port Port-Phillip dotąd istnieje i leży obecnie prawie w środku miasta, lecz nie mógł być tak rozszerzony, aby w nim stawać mogły nowożytnie parowce — olbrzymy. To też w tym celu musiano wybudować nowy zewnętrzny port, a jakkolwiek natura wcale temu nie sprzyjała, gdyż brzeg jest płaski i otwarty na szeroką, niezbyt spokojną zatokę, miasto, jako punkt handlowy, już nie zatrzymało się w swym rozwoju. Ludzie ze swej strony poczynili wszystko, aby nowy port przedstawiał wszelkie nowożytnie dogodności lądowania. A więc wszelkie statki mogą podchodzić do samych bulwarków, które w tym celu wyciągnięto na kilkadziesiąt sążni w morze. Na jednym z bulwarków ułożono kilka torów kolejowych, na nich odbywają się formalne manewry towarowymi pociągami, jak na jakiej stacji, w głębi łądu położonej. Wobec tego ładunek idzie prosto ze statków do pociągów i odwrotnie. Na brzegu przystanek pociągów osobowych, a prócz tego tuż niedaleko przystanek tramwajów, które dowożą podróżnego w ciągu kwadransa do środka miasta, przecinając dwie ciche robotnicze dzielnice, zabudowane szeregiem małych domków.

Tramwaj mija most na rzece i wchodzi do city w tym miejscu, gdzie leży centralny dworzec kolejowy, mały i ciasny jeszcze wówczas, lecz obecnie prawdopodobnie obszerny i wygodny, gdyż przy mnie (rok 1909) właśnie wykończano tuż obok wielkich gmach nowego dworca. Główna ulica w city, Collins Street, bardzo przypomina od strony ogrodu Botanicznego naszą Marszałkowską ulicę od strony Saskiego ogrodu, a w tym miejscu, gdzie przy Królewskiej stoi giełda, tam wznosi się gmach nie mniejszej doniosłości społecznej — parlament Rzeczypospolitej. Piękny ten gmach ma cokolwiek z ciemnej lawy, a zresztą są tu kościoły całkowicie z lawy budowane. Trochę to ponuro wygląda, nieprzyjemne wrażenie potęguje jakiś przyziemny styl niewysokich wież, który wszakże jest konieczny, zdarzają się tu bowiem od czasu do czasu lekkie trzęsienia ziemi.

Gdzie leży przyczyna, iż będący w tak świetnych warunkach kraj, jak Australia, tak wolno się kolonizuje? Suchość klimatu, utrudniająca pracę rolnika, nie może mieć aż takiego wpływu, albowiem są przecież rozległe okolice, gdzie deszcze padają w ilości zupełnie wystarczającej, jak na przykład większa część Victorji lub szeroki na 60—80 wiorst,

a trzydzieści razy tak długi, pas pobeżny w Nowej-Południowej-Walji (North Coast i South Coast). A zresztą w niektórych miejscowościach wgłębi łądu, gdzie deszcz zdarza się raz na lat siedm, gleba jest jednocześnie tak urodzajna, iż przy stosowaniu sztucznego nawodniania lucerna rośnie w pas dorosłemu mężczyźnie.

Rzeczywistą przyczyną jest spekulacja. W kraju, gdzie kolonizacja jest wprost koniecznością, jeżeli kraj ten ma nadal rozwijać się, ceny ziemi powinny być jaknajniższe, możliwie dostępne dla drobnego rolnika, a to wcale niema miejsca w Australji. Dość powiedzieć, że w pobliżu miast bywają grunta tak drogie, jak w najbardziej zaludnionych krajach Europy. Po tem sądzić możemy o całości, a jakkolwiek są i zupełnie tanie grunta, zwłaszcza w ręku rządu, te jednak wymagają olbrzymiego nakładu pracy i kosztów dla doprowadzenia do stanu jakiejś takiej kultury. Otóż był czas, kiedy rząd angielski rozdał po bajecznie niskich cenach ogromne obszary najlepszej, naturalnie, ziemi; bo tej, co pozostała, nie chciał nikt wziąć i zadarmo. Była to krótkowzroczność, obliczona oczywiście tylko na szybki rozwój prymitywnego pasterstwa, który też nastąpił. Kiedy wszakże przyszła kolej na rolnictwo, okazało się, że zrobiono głupstwo. Jakkolwiek bowiem nowy proceder obiecywał znacznie większe zyski, bardzo niewielu z tych obszarników mogło i chciało się zdobyć na rozpoczęcie go. Kiedy zaś spostrzegli, iż państwu zależy na rozwoju rolnictwa, i w tym celu sprowadza nowych osadników, porozumieli się szybko i wyrubowali ceny ziemi tak, iż nowi koloniści przestali napływać. Zresztą ci lordowie, jak ich nazywają w Australji, tak się już wzbogacili na welnie, że niejednego zarzucił i chów owiec, a zamieszkał w mieście, często w Londynie, pozostawiając swe obszary odłogiem, ponieważ podatki płaci się nie od wartości gruntów, lecz od dochodów z nich — prawo dobre, a jednak, jak widzimy, i takiego można użyć na zle.

Łatwo zrozumieć, ile na tem tracą obecne państwa Australijskie, widzą też, że jedynym wyjściem jest opanowanie ziemi przez drobnych rolników, a ci znów nie mają ani chęci, ani możliwości płacić tak znacznych sum. Z drugiej strony spekulanci — obszarnicy ani myślą ustąpić, chociaż są obywatelami tychże państw, utrzymując widocznie, że prima charitas ab ego.

Wobec takiej sytuacji jeden tylko stan Victoria zdobył się na krok stanowczy. A mianowicie w roku 1906 parlament uchwalił t. zw. „Small holdings act“, którego mocą rząd ma prawo wydatkować z sum państwowych 1½ miliona rubli rocznie na wykup ziemi z rąk obszarników po cenach umówionych (1),

¹⁾ Nazwa czysto miejscowa, która w języku krajowców miała oznaczać pojęcie „ryba“ i „ryby“, jak mię objaśnił pewien młody pastor tamtejszy.

parcelować na kawałki wartości nie większej, niż 2000 rubli (przyjmując też ceny), przeprowadzać drogi, karczować, irygować, ogradać — prawo obowiązujące w całej Australji — budować domki, zakupować żywy i martwy inwentarz, oraz osadzać na każdej parceli rolniczą rodzinę, już jednak naturalizowaną w Australji i pochodzenia brytyjskiego. Na te dodatkowe prace rząd ma prawo z powyższego funduszu wydać jeszcze 1500 rubli od parceli, a w ten sposób wartość jej ma wynosić 3500 rubli, jako cena maksymalna, wystarczająca zresztą, aby odstraszyć każdego kolonistę. Spłata więc należności rozkłada się na 31½ lat z dodatkiem 5% od corocznej pozostałości.

W ten sposób państwo nie traci nic z wydanych pieniędzy, lecz jak są wyrubowane ceny przez obszarników, można wnioskować z terminu wypłaty: ustalenie go na lat 30 z górą dowodzi, że ponad te ceny i w okresie trzydziestoletnim wartość ziemi nie podniesie się, a przynajmniej ziemi na takim stopniu kultury.

Prawo o urządzeniu małych majątków przeszło w parlamencie nie tylko usiłowaniami patryjotów, lecz i głosami przedstawicieli samychże spekulantów, którzy w ten sposób posiadli różność otrzymania swych wygórowanych cen, gdy dotąd mogli się cieszyć jeno perspektywą. Tu widzimy zasadniczą różnicę w charakterach różnych narodowości: u nas mądrość przysłowiowa mówi: lepszy wróbel w rękę, niż głuszcza na sęku.

Victoria, jak wszystkie inne państwa australskie, posiada pozatem jeszcze dużo ziemi w rękach rządu, lecz rzeczywista wartość tej ziemi jest, jak dotąd, minimalna, zwłaszcza w centralnej części kontynentu.

Wszelako stopniowo w kraju swobód politycznych, niewyciskanych przez szubę militarystów, wszystko idzie ku lepszemu. W Victorji więc w ciągu ostatnich lat dziesięciu silnie rozwinęło się już mleczarstwo, o czem pojęcie dadzą następujące oficjalne cyfry: kiedy w roku 1899 państwo to wysłało do Anglii 369 tonn masła wartości pół miliona rubli, w roku 1907 wywóz masła sięgnął 43000 tonn wartości 60 milionów rubli.

Sadownictwo, zdawałoby się, jest zaledwie w stadjum zaczątkowem, przynajmniej w stosunku do tej ilości zdatnej do takowego ziemi, jaką podają źródła urzędowe. A jednak zarówno Victoria, jak i inne stany australskie, od dość dawna wyrabiają już wino z własnych łoż.

Tu muszę wspomnieć o następującym fakcie. W większych miastach Australji często spotkać się można z reklamą win z winnicy majątku „Grodno“. Nadto swojsko brzmi ta nazwa dla polskiego ucha, aby miała Polaka nie zainteresować. Okazuje się, że winnice te założone zostały przez d-ra Wróblewskiego z Grodna, człowieka niezwyklej energii i dzielności, dzięki którym dawniejsze pastwiska i lasy zamienił on w kwitnące ogrody. Nie potrafił niestety utrzymać tak ślicznego, a co ważniejsze przez siebie stworzonego majątku, jak powiadają z powodu nieszczęśliwego nalogu do gry karcianej. Grodno jest obecnie własnością jakiejś spółki żydowskiej.

Ów d-r Wróblewski stał się obecnie osobistością napół legendarną, przynajmniej w Sydney wśród bardzo nielicznych tam zamieszkałych Polaków. Wymieniamy na przykład zupełnie inne nazwisko, lub utrzymują, iż był to budowniczy a nie lekarz. Na zapytanie, co się z nim stało, odpowiadają, że zastrzelił się z rozpacz, kiedy indziej znów, że mieszka i praktykuje w Acclbourne.

Przejdźmy do produkcji w stanie Victorji. Złoto znajdują tam obecnie tylko na wielkich głębokościach, przechodzących często 3000 stóp, a czasem i 4000, jak w na przykład w obwodzie Bendigo. Pozatem kopią tu potrochu rudę srebrną, miedzianą i cynkową, węgiel kamienny, marmur, gdzienigdzie djamenty i agaty.

Przemysł jest już na pewnym stopniu rozwoju, zwłaszcza żelazny pozwala sporo rzeczy nie prowadzić z Europy, a nawet wytwarza artykuł, od paru lat wywożony do Argentyny, mianowicie wspomnianą już żniwiarkę pięciokonną. W roku 1907 fabryk żelaznych w kraju było 508, naturalnie niedużych, zatrudniały bowiem łącznie zaledwie 12600 ludzi. Najlepiej jest płaconą pracą modelarzy, gdyż dochodziła wówczas do 66 szylingów (30 r.) na tydzień, tokarze zarabiali 60 szyl., ślusarze, kotlarze do 52 szyl., blacharze — poczynając od 42 szyl.

Liczba tartaków w roku 1907 sięgała 119, zatrudniając 1680 robotników. Świeże oficjalne źródła zapewniają, iż w miejscowości zwanej Gipsland natrafiono na gatunek drzewa, który prawdopodobnie będzie bardzo odpowiedni na meble i wyruguje całkowicie drzewo amerykańskie.

* * *

Sztynny kontur nie pogiętych, nie poszarpanych przez morze brzegów Australji mało pięknych przedwiał widoków. Wszelkie zatoki, odnogi, półwyspy Australji są tak nieduże, iż zwykle na mapach nie są wcale oznaczone, a już zupełnie równać się nie mogą z wybrzeżami Europy, gdzie na jednym półwyspie leży po parę państw, morza większe składają się z kilku mniejszych, mają prócz tego kilkanaście zatok, cieśnin, wysp i t. p. To też piękne wybrzeża zdarzają się w Australji względnie rzadko. Szczególny wyjątek stanowi ujście rzeczki Paramatta, czyli t. zw. obecnie Port-Jackson, na którego obu brzegach rozsiadło się wielkie miasto Sydney, stolica Nowej Południowej Walji. Właściwie Port-Jackson był naprawdę ujściem Paramatty może parę okresów geologicznych wstecz. Obecnie na przestrzeni kilkunastu wiorst od oceanu w głąb lądu jest to odnoga morska, utworzona przez głęboką zapadlinę o kapryśnie porzniętych dość wysokich brzegach, i w najwęższym miejscu trzy razy szerszy od Wisły pod Warszawą.

Linja brzegowa tworzy kilkadziesiąt pomniejszych zatok, półwyspów a nawet wysp tak sporych, iż każda z nich ma swą nazwę; długość jej wynosi ponad 300 klm. Zważywszy, że na całej tej przestrzeni zupełnie nie ma mielizn, a nawet kolor wody nie jest jaśniejszy, niż na oceanie, że dno i brzegi



stanowią twarzą skałę piaskowcową, dającą się ociosać choćby pod pion, że wobec tego olbrzymie statki oceaniczne przystają u samego lądu, — nie zdziwimy się, iż zatoka ta przedstawia naturalny port, jakiego drugiego może niema na całej kuli ziemskiej. Jest to obszar wodny tak znaczny, że na nim prawie nie znać tych paruset statków różnego rodzaju i kalibru, jakie wchodzą, rozładowują się, ładują i wychodzą z portu. Naturalnie, iż przyczynia się do tego wielka ilość przystani po wszystkich mniejszych zatokach i odnogach, ukrytych za przylądkami i półwyspami.

Jak widzimy na mapie, port jest przedewszystkiem doskonale osłonięty od burz szalejących na oceanie przez dwa potężne przylądki skalne, noszące nazwę lbów (haeds): Północny i Południowy. Każdy z nich zaopatrzony jest w latarnię morską oraz w ukryte fort, które w razie potrzeby mogłyby stać się niegościnnymi dla całej floty zbyt natrętnych sąsiadów. Prócz tego w porcie stale stoi najmniejszy jeden, a często trzy i więcej angielskich krążowników. Miejscem postoju ich jest środek zatoki Farm-cove, vis à vis Botanicznego ogrodu, dochodzącego po pochyłości aż do samej wody, oraz pod okiem generał-gubernatora, którego zamek stoi tuż obok na wysokim wzgórzu również wśród ogrodu. To miejsce wygląda najpiękniej dzięki różnorodności nasadzonych tu sztucznie roślin i starannemu ich pielęgnowaniu. I wogóle wszędzie dookoła są lub byłyby cudowne widoki, gdyby zamiast stereotypowego eukalyptusa rosły bodaj polskie świerki.

Miejscami od samego brzegu rozpoczynają się gęsto zabudowane dzielnice miejskie, zwłaszcza na południowej stronie. Tak jest w Woolloomooloo-bay, tak w Darling-harbour, tak przedewszystkiem w Sydney-cove, to znaczy tam, gdzie do portu przytyka city. Jako miasto względnie stare, założone mianowicie w roku 1788, a zresztą wobec bardzo nierównego terenu i poszarpanych przez fale morskie brzegów, Sydney posiada mało prostych ulic, a city, zajmujące względnie najrówniejszy kawałek gruntu, nie wyróżnia się w tej mierze zbyt od licznych i rozległych przedmieść. Tworzy ono niekształtny, podłużny wielobok, którego dwa najdłuższe boki opierają się z jednej strony o stary towarowo-żaglowy port Darling-harbour oraz o szereg ogrodów publicznych z drugiej. Są to wspomniane już ogrody gubernatorski i botaniczny a dalej: t. zw. Outern-Domain oraz Hyde-park. Sydney-cove wrzyna się do środka city, i tu na brzegu urządzony jest plac, zwany Circular-Quay, gdzie koncentruje się największy ruch miejski. Stąd rozchodzą się idące w najdalsze krańce miasta tramwaje, tu przystają największe pasażerskie i pocztowe statki wielkich towarzystw żeglugi, tu też jest główna stacja osobowych statków portowych, które nazwę tramwajami wodnymi, a które również mają swoje linie bliższe lub dalsze.

Kto nie zwiedzał krajów o kulturze anglosaskiej, temu nielawo będzie wyobrazić sobie wygląd miast angielskich, a to z powodu zupełnie odrębnego, oryginalnego bardzo sposobu budowania się. Jak to już

parę razy wzmiankowałem, wielkie gmachy w city mieszczą tylko różnego rodzaju bussinesy, ludzie w nich nie mieszkają, albowiem wypadłoby kilku rodzinom mieć wspólne sienie i klatki schodowe, jak u nas, a takiego nadużycia swej indywidualności Anglik nie zniósłby. W jego pojęciu każda rodzina winna mieć zupełnie osobny domek. Jeżeli więc ktoś ma plac i chce na nim zbudować dom mieszkalny do wynajęcia, nie może marzyć o jakiejś cztero lub chociaż trzypiętrowej kamienicy, musi podzielić swój plac na wąskie paski i wyzyskując w miarę możliwości powierzchnię ich, wybudować szereg domków parterowych lub jednopiętrowych. Dwupiętrowe budowane są nader rzadko. Każdy taki domek zajmie jedna rodzina i najwyżej odnajduje część swych ubikacyj ludziom samotnym. Musi wszelako mieć na swe wyłączne usługi oddzielne podwórko z odnośnemi wygodami i oddzielne schody, które budowane są zwykle lekko — z drzewa — i ustawione w przedpokoju lub nawet w jednym z pokoiów. Te ostatnie są w porównaniu do naszych małe, czasem nawet bardzo.

Skutkiem przyczyn powyższych, wobec niemożności budowania się w powietrzu, miasta zajmują olbrzymie obszary, Sydney więc znacznie mniejszy od Warszawy (588,000 mieszkańców w roku 1908), rozsiadł się na przestrzeni dziesięćkroć większej, a pozatem jeszcze dziesięć razy tyle niezabudowanych prywatnych gruntów dookoła miasta zaliczone są do przedmieść i tworzą w całokształcie t. zw. metropolis. Place są też bardzo drogie, w city na przykład bez porównania droższe niż w Warszawie przy ul. Marszałkowskiej. Bez względu jednak na to do własnego nad głowę dachu dochodzi się przy dobrych chęciach nierównie prędzej niż u nas, w tym kierunku bowiem powszechnie czynione są przez sprzedawców duże ułatwienia, gdyż prastary zwyczaj angielski nakazuje dążyć do własnego domu (home). Rzecz prosta, że im dalej od najruchliwszych punktów miasta i dzielnic bogatych, tem place są tańsze, mniej zatem zamożni ludzie nabywają je nieraz poprostu wśród bush'u. O jakichś napadach na takim pustkowiu, bandyckich operacjach, nikt na całym lądzie australskim nigdy nie słyszał, komunikacja zaś jest zapewniona przez niezwykle rozgałęzioną sieć tramwajową, liczne i gęste przystanki kolejowe oraz przez linie statków portowych. Tory tramwajów wysuwają się daleko poza przedmieścia, dochodząc nieraz poprostu do jakichś miejsc wycieczkowych, na przykład nad Botany-bay lub do Ryde, to znaczy sięgają tak, jak podjazdowe kolejki łódzkie, a nawet dalej.

Wobec wysoko opłacanej pracy, wybudowanie domu również tanie nie jest, na szczęście warunki klimatyczne wytworzyły tu powszechny typ domów, w których budowę wkłada się w stosunku do naszych o połowę mniej materiałów i pracy — domów budowanych lekko. Główne mury są tu przeważnie grubości na jedną cegłę, a miałem niejednokrotnie sposobność sprawdzić osobiście przy budowach, że grubszych od wyżej opisanych domów mieszkalnych nie stawiają. Dla wzmocnienia zakładane są w mur



co parę stóp podłużne pręty (ankry) z drutu lub żelaza bednarskiego, a pozatem cegła wyrabia się tylko w doskonałym gatunku i do wapna dosypują znacznie mniej piasku niż u nas. Cegła australijska i wogóle angielska ma przytem obie duże powierzchnie nieco wklęsłe, aby warstwa cementująca lepiej się trzymała między dwiema cegłami. W okolicach Sydney wyrabiana jest z gliny, mającej w sobie takie sole mataliczne, które po wypaleniu nadają cegle kolor brunatny, sam wyrób zaś trwałością mało ustępuje odlewom żelaznym.

Domek mieszkalny, składający się z 4 pokoiów, kuchni i zwykłych wygod, mający wygląd willi o ładnym łamanym dachu, buduje sześciu ludzi w ciągu 4 — 5 tygodni. Drewniane domki są, rzecz prosta, jeszcze szybciej budowane, a zdarzyło mi się parę razy widzieć domki całe z falistej blachy, bardzo rozpowszechnionej w krajach angielskich. Przytem nawet małe zupełnie domki w gęsto zabudowanych dzielnicach robotniczych mają zawsze bardzo ponętny wygląd, wąziutką werandę od frontu, wejście frontowe i tylne, oba zresztą ciasne, i są całkowicie wymalowane najczęściej na kolor wiśniowy. Wszelako widok z jakiego wzgórza tych obszarów zabudowanych takimi cackami czyni, niewiem dla-

czego, przykre wrażenie olbrzymiego, starannie utrzymanego cementarza.

W willach, położonych w odleglejszych dzielnicach, zamieszkałych przez ludzi zamożnych, na pierwszy rzut oka uderza wielka ilość drzwi wejściowych oraz małe wązkie okna, niewiele przepuszczające światła. Konstrukcja podobna jest celowa, a to ze względu na długie upalne lato tutejsze: w mieszkaniu wówczas pożądane jest jaknajwięcej cienia i przeciągów. Z drugiej strony nie zachodzi obawa, aby zimową porą miało być ich za dużo, albowiem temperatura nie opada niżej $+6^{\circ}\text{C}$, zaś ilość dni pochmurnych jest minimalna — przeciętnie 50 w roku. Na wiosnę naprzykład w pasie przybrzeżnym padają dość częste i obfite deszcze, lecz po każdym z nich niebo szybko wypogadza się.

Australja z wielu względów stanowić może bardzo interesujący teren dla każdego badacza stosunków gospodarczych, społecznych i nawet politycznych wśród wielkich współczesnych zbiorowisk ludzkich o kulturze europejskiej. Omówienie jednak tych zagadnień w ich ukształtowaniu się na gruncie australijskim przekraczałoby już ramy niniejszych wrażeń z podróży na południową półkulę.

Z NASZYCH KRAJOBRAZÓW.



104. W. Starewicz.

Z nad Szeszupy, pow. kalwaryjski.



DO NASZYCH CZYTELNIKÓW.

Zamykając niniejszym zeszytem piąty rocznik „Ziemi“, rozpoczęty jeszcze przed wojną, poczuwamy się do obowiązku poinformowania choć pokrótce Czytelników i Przyjaciół naszego pisma o naszych zamiarach na przyszłość.

„Ziemia“ wychodzić będzie w roku 1920-ym jako miesięcznik, zmuszając nas do tego ograniczenia rozwoju naszej działalności olbrzymie koszta druku i papieru, z czem dotychczas nie idzie w parze zwiększenie się czytelnictwa, zwłaszcza na prowincji. Zeszyty dwuarkuszowe (o 32-ch kolumnach tekstu) ukazywać się będą stale w połowie każdego miesiąca. Jedynie w miesiącu styczniu zajdzie jeszcze pewne opóźnienie tego terminu, spowodowane koniecznością wyrównania zaległości za kończący się rok 1919-ty.

Zachowując pozatem w zupełności swej zewnętrzny format i układ, „Ziemia“ pod względem treści kontynuować będzie w roku przyszłym dotychczasowe swoje tradycje. Będziemy zatem starali się dawać w piśmie żywe odbicie wszelkich, wchodzących na porządek dzienny naszego życia publicznego, zagadnień krajoznawczych. Szczególną uwagę zwrócimy oczywiście na nasze dzielnice kresowe, zachodnie i wschodnie, niedość dotychczas jeszcze związane z życiem ogólnopolskiem. Oprócz artykułów informacyjnych oraz specjalnych monografij zamieszczać będziemy tu opisy wycieczek i wrażeń bezpośrednich. Zarówno zatem Pomorze polskie, Warmja, Pojezierze mazurskie, Wielkopolska, Śląsk Górny i Cieszyński, jak z drugiej strony — Litwa, Białoruś, Polesie, Wołyń i Podole — będą w nadchodzącym roku głównym tematem prac i artykułów, zamieszczanych w naszym piśmie.

Dużą uwagę zamierzamy zwrócić również na dział turystyki polskiej, w nadziei, że tą drogą przyczynimy się do ożywienia tego sportu, tak szlachetnego, a tak ściśle zarazem związanego z krajoznawstwem.

Jako organ Pol. Tow. Krajoznawczego, podawać będzie „Ziemia“ i nadal dokładne i szczegółowe wiadomości o pracach i zamierzeniach zarówno Zarządu Centralnego w Warszawie, jak i coraz liczniej powstających na całym obszarze Polski oddziałów prowincjonalnych.

Dział ilustracyjny w „Ziemi“ otaczać będziemy, jak i dotychczas, opieką jak najstaranniejszą.

Nie wątpimy, że w miarę rozwoju w społeczeństwie naszym idei krajoznawczej wzrastać będzie i zainteresowanie się „Ziemią“ wśród szerokich kół starszych i młodzieży, co pozwoli nam na rozszerzenie rozmiarów pisma i wprowadzanie w niem coraz istotniejszych ulepszeń. W pracy tej Czytelnicy i Przyjaciele „Ziemi“ nieść nam mogą pomoc skuteczną przez nadsyłanie fotografii i opisów, nadających się do zużytkowania w naszym piśmie.

Cena prenumeracyjna „Ziemi“ wynosić będzie w roku przyszłym 15 mk. kwartalnie, a 60 mk. rocznie. Cena numeru pojedynczego oznaczona została na 6 mk.

Ze względu na szybkie wyczerpywanie się dawniejszych roczników „Ziemi“ zmuszeni jesteśmy podnieść ich cenę do wysokości 100 marek za każdy zosobna. Nowi prenumeratorzy „Ziemi“ korzystać będą przy ich nabywaniu z ustępstwa 20 proc., czyli płacić będą za nie tylko po 80 marek. Dotyczy to roczników II — V, gdyż rocznik pierwszy jest już zupełnie wyczerpany.

ZJAZD TURYSTYCZNY W KRAKOWIE.

Z inicjatywy Ministerstwa Robót Publicznych, w którego zakres działania wchodzi również sprawy popierania ruchu turystycznego w Polsce, obradował w dniach 11-ym, 12-ym i 13-ym października w Krakowie w sali instytutu geologicznego uniwersytetu zjazd delegatów towarzystw turystycznych, krajoznawczych i narciarskich oraz pokrewnych działów sportu z całej Polski. Z ramienia Ministerstwa Robót Publicznych wziął udział w Zjeździe starszy referent dla spraw turystyki dr. Mieczysław Orłowicz, z ramienia Ministerstwa Zdrowia Publicznego kierownik wydziału wychowania fizycznego dr. Stanisław Kopczyński, za Ministerstwo Oświecenia radca Aleksander Janowski, naczelnik wydziału oświaty pozaszkolnej, a z ramienia Min. Kolei Państwowych st. referent Franciszek Moskwa.

Zjazd obesłany był bardzo licznie, a przez jednego lub kilku delegatów wzięły w nim udział następujące towarzystwa: z Warszawy Polskie Towarzystwo Krajoznawcze, komitet organizacyjny Polskiego Touring Klubu, Warsz. Tow. Wioślarskie, Warszawskie Towarzystwo Cyklistów; z Krakowa Towarzystwo Tatrzańskie, Krajowy Związek Turystyczny, Oddział Polski Towarzystwa Krajoznawczego, Akademicki Związek Sportowy, Tatrzańskie Towarzystwo Narciarzy, Krakowski Klub Cyklistów i Motocyklistów, Związek Polskich Cyklistów; — ze Lwowa: Karpackie Towarzystwo Narciarzy, Akademicki Klub Turystyczny, Oddział Lwowskiego Kraj. Związku Turystycznego, Towarzystwa Zabaw Ruchowych, Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze, Lwowski Klub Sportowy „Pogoń” — z Zakopanego: Sekcja Turystyczna T. T., Sekcja Narciarska T. T., Sekcja Ochrony Tatr T. T. oraz Kompanja Wysokogórska — z mniejszych miast: Polskie Towarzystwo Turystyczne „Beskid” w Cieszynie, Oddział Pol. Tow. Kraj. z Sandomierza i Oddział „Beskid” T. T. w Nowym Sączu. W charakterze gości brali w zjeździe udział: reprezentat Naczelnego Inspektoratu Związku Harcerstwa Polskiego pułk. Bronisław Piątkiewicz, delegat „Touring Club de Belgique” inż. Madeyski, prezes Polskiego Związku Piłki Nożnej inż. Ludwik Christelbauer, prezes Polskiego Komitetu Olimpijskiego dr. Stanisław Polakiewicz, reprezentat Komitetu Mazurskiego Adam Uziębło i inni.

Zjazd miał przebieg bardzo poważny, a wśród delegatów znalazł się szereg profesorów oraz wybitnych publicystów z zakresu turystyki, krajoznawstwa i narciarstwa, jak dr. Roman Kordys, dr. Mieczysław Świerż, inż. Bobkowski, prof. Kazimierz Sosnowski, Aleksander Janowski, prof. dr. Jan Gwalbert Pawlikowski, dr. Walery Goetel, dr. Wiktor Kwinior, dr. Kazimierz Rouppert, dr. Adam Kroebl, dr. Karol Kwieciński i inni. Przewodniczącymi Zjazdu wybrano prezesa Tow. Tatrzańskiego prof. dr. Szajnochę oraz wice prezesa Pol. Tow. Krajoznawczego w Warszawie radcę Janowskiego; zastępcami — przewodniczącymi: prezesa Karpackiego Towarzystwa

Narciarzy we Lwowie radcę Kazimierza Lubienieckiego i wiceprezesa Krajowego Zw. Turystycznego w Krakowie Ludwika Szejnra, sekretarzami — prezesa Akademickiego Związku Sportowego w Krakowie dr. Walerego Goetla i prezesa Sekcji Wycieczkowej P. T. K. w Krakowie dr. Stanisława Stolarzewicza.

Celem zjazdu głównym było stworzenie stałego związku towarzystw turystycznych w Polsce, ustalenie dla każdego z towarzystw pewnego zakresu działania dla uniknięcia sporów kompetencyjnych, a wreszcie omówienie przy współudziale reprezentantów władz całego szeregu projektów, tak rządu, jak i towarzystw, zmierzających do podniesienia i ułatwienia ruchu turystycznego w Polsce. Uchwalono założyć „Polski Związek Towarzystw Turystycznych” z siedzibą w Warszawie, do którego mają należeć wszystkie towarzystwa turystyczne, krajoznawcze i narciarskie z całej Polski, a którego zjazd organizacyjny ma się odbyć w marcu 1920 r. w Krakowie, gdzie też ma siedzibę komisja statutowa. Przy podziale kompetencji otrzymało Towarzystwo Tatrzańskie i jego oddziały opiekę nad turystyką w Tatrach i Karpatach, Polskie Towarzystwo Krajoznawcze i jego oddziały turystykę w pozostałych częściach kraju, wydawnictwa, wycieczki ludu i młodzieży. Touring Klub turystykę, jako sport, turystykę kolarską, wodną, samochodową, wycieczki za granicę. Krajowy Związek Turystyczny — ewnt. Polski Związek Popierania Turystyki — ma się zająć handlowo-przemysłową stroną ruchu turystycznego, poprawą hotelarstwa, ściąganiem cudzoziemców do Polski, a wreszcie zorganizować osoby i instytucje, nie będące turystami, ale mające finansowy interes w popieraniu turystyki (np. hotele, zdrojowiska, pensjonaty, biura podróży i t. p.). Towarzystwa narciarskie zatrzymują dotychczasowy zakres działania, zaś towarzystwa akademickie i pozostałe samodzielne towarzystwa stać się winny sekcjami lub oddziałami jednego z powyższych towarzystw. Z konkretnych postulatów za najpilniejsze uznano budowę domów wycieczkowych dla zbiorowych wycieczek ludowych i szkolnych w Warszawie, Krakowie i Zakopanem, budowę schronisk turystycznych na Hali Gąsienicowej, w Sławsku, na Prohybie (Beskidy Śląskie), Stożku (Beskid Śląski) i w Ojcowie, poprawa i wyznaczenie farbą ścieżek w Tatrach i Karpatach (pomoc obiecali harcerze), a wreszcie wydanie przewodników i map turystycznych dla całej Polski i poszczególnych prowincyj.

Ze spraw kolejowych żądano — co ile okoliczności na to pozwolą — wprowadzenia zniżenia powrotnych biletów dla turystów, polepszenia połączeń oraz budowy w najkrótszym czasie linii kolejowych: Kraków — Ojców — Olkusz; Wieliczka — Myślenice — Mszana Dolna i Nowy Targ — Szczawnica — Nowy Sącz. Dość długą dyskusję wywołała sprawa organizacji państwowych urzędów turystycznych na pro-



Chłopiec z Wilkołaza, pow. Janowski.

*fol. ze zbiorów
Pol. Tow. Kraj.*

wincji, w szczególności w Krakowie, i połączenia go z jednym z istniejących tamże towarzystw; większość mówców oświadczyła się przeciw temu wnioskowi, uważając, że tego rodzaju organa prowincjonalne, jako pomnażające tok instancji, nie są potrzebne, natomiast wskazane byłoby rozszerzenie i usamodzielnienie Państwowego Biura Turystycznego przy M. R. P. w Warszawie. Za organ wszystkich towarzystw turystycznych w Polsce uznano „Ziemię“, wydawaną w Warszawie przez Polskie Towarzystwo Krajoznawcze po poczynieniu pewnych zmian w układzie pisma. Poza tem uchwalono (wniosek p. Uziembły) polski ruch turystyczny skierować przedewszystkiem na ziemię, objęte plebiscytem, zaprotestowano przeciwko zamiarom oddania Rumunii południowego cypla Galicji Wschodniej z częścią Czarnohory i Żabiem, domagano się od władz ułatwień w sprowadzeniu z zagranicy niezbędnych przyborów turystycznych sportowych i t. p.

Równocześnie reprezentanci czterech polskich towarzystw narciarskich, biorących udział w zjeździe, wybrali komitet organizacyjny dla specjalnego „Związku polskich towarzystw narciarskich“ z siedzibą narazie we Lwowie. Staraniem tegoż związku

odbędzie się już w tym sezonie zimowym w Zakopanem zawody narciarskie o Mistrzostwo Polski w jeździe szybkiej, sztucznej i skoku. Szczegóły zostaną ustalone przez komitet organizacyjny związku.

oooooooooooo

Adres Pol. Tow. Kraj. na otwarcie Wszechnicy Batorego w Wilnie.

Z powodu uroczystości otwarcia Uniwersytetu Wileńskiego Zarząd Pol. Tow. Kraj. przesłał Senatowi Wszechnicy Stefana Batorego pismo następujące:

„Polskie Towarzystwo Krajoznawcze składa wskrzeszonemu Uniwersytetowi Wileńskiemu wyrazy hołdu i życzenia świetnego rozwoju, w myśl wielkiej tradycji Śniadeckich, Lelewelów, Gołuchowskich.

Rozwiać mgłę ciemności, zapalić pochodnię nauki, rozniecić ognisko kultury, umocnić narodowego ducha — oto szczytne zadania, jakie Wam, czcigodni profesorowie, w udziale przypadły!

Niech światło Waszej wiedzy i prężność Waszego ducha sięgną po nasze dalekie rubieże, gdzie oręż rycerstwa naszego zmoże wrogie nam źródło wsteczniactwa i bałwany instynktów poziomych obali.

Z zaciśza Waszych pracowni, ze szczytów Waszej idei niech promienie wielkiej jasności oświecą kraj cały, któremu Wilno będzie hetmanic.

Promienie te zbudzą uśpionych, zśisną wyczerpanych, umocnią zachwiających, zogniskują rozproszonych. W tem nowem świetle spotęgować się ma nasze samopoczucie narodowe i — umocnić samowiedza Polski.

Ze światła tego korzystać, będą nasze poczynania narodowe i wysiłki kulturalne.

Niechże więc współdziałają z Wami wszystkie bijące serca polskie, niech zszeregują zespoły zorganizowane.

W ich szeregu staje i Polskie Towarzystwo Krajoznawcze.

Tryumfalny hejnał nauki niech zabrzmie donośnie; niech dźwięk jego od modrych fal Wilji popłynie w dal... ku brzegom Dźwiny i wielkim wodom dniewnym.

10 października 1919 roku.

oooooooooooo

Odezwa w sprawie Domu Wycieczkowego w Zakopanem.

Komitet Domu Wycieczkowego w Zakopanem, zawiązany przy Pol. Tow. Kraj., [rozsyła] odezwę następującą:

„Wycieczki szkolne, przybywające do Zakopanego, nie miały dotychczas żadnego schroniska, gdzie mogłyby otrzymać tani nocleg i posiłek.



W ciągu ubiegłych wakacyj do tej perły krajo-
brazu polskiego przybyły już tysiące młodzieży,
w przyszłości rzesze jej wzrosną, i muszą wzrosnąć,
gdyż każde dziecko polskie i każdy jego nauczyciel
powinien odbyć wycieczkę do Tatr.

Aby wycieczkom szkolnym ułatwić pobyt w Za-
kopenem, Polskie Towarzystwo Krajoznawcze otwo-
rzyło przy swoim Oddziale Podhalańskim Komitet
Domu Wycieczkowego dla młodzieży szkol-
nej w Zakopanem, gdzie przede wszystkim go-
ścić będą wycieczki nauczycielskie i młodzieży
szkolnej.

Przedsięwzięcie to wymagać będzie bardzo zna-
cznego nakładu i dlatego musi być uskutecznione
wysiłkiem zbiorowym, w którym musi wziąć udział
i młodzież szkolna, i zarządy szkół, i ogólna pomoc
społeczeństwa.

W tym celu Komitet Domu wydał stumarkowe
akcje, które mogą być nabywane przez instytucje,
osoby prywatne, Zarządy szkół i grupy uczących
się. Nabycie 5 akcji przez daną szkołę daje jej ty-
tuł założycielki, oraz pierwszeństwo w korzystaniu
z Domu.

Zamówienia od takich szkół przyjmowane będą
do 1 czerwca każdego roku w Zarządzie Domu
Wycieczkowego: Zakopane, ul. Chałubińskiego, celem
ustalenia kolejki wycieczkowej.

Wpływające sumy kierować należy do Polskiego
Domu Wycieczkowego w Zakopanem.

Plan: Przy ul. Chałubińskiego w Zakopanem
stoi budynek Muzeum Tatrzańskiego im. Dr. Chału-
bińskiego. Zbiory Muzeum w lecie 1920 r. przenie-
sione będą do nowego gmachu, zaś w budynku
obecnym urządzony będzie Dom Wycieczkowy.
Wymagać to będzie: nabycia gruntu i budynku,
znaczących przeróbek celem przystosowania go do
zmienionych potrzeb, oraz urządzenia wewnętrznego.
Nakład wynosić będzie około 700.000 koron, prze-
prowadzony więc będzie stopniowo. Na wakacje
1920 r. już część gmachu oddana będzie do użytku
wycieczek.

E. HERSOWA, AL. JANOWSKI, DR. W.
KRASZEWSKI, K. KULWIEĆ, STEFAN
I HELENA MAKARCZYKOWIE, KSAW.
PRAUSS, K. SŁAWIŃSKI, K. PRZERWA-
TETMAJER, STEFAN ŻEROMSKI.

oooooooo

O WAKACYJNE KURSY KRAJOZNAWCZE.

Z okazji projektowanego na grudzień r. b. a od-
łożonego do wiosny r. 1920 ogólnego zjazdu krajo-
znawczego z całej Polski członek Podhalańskiego
Oddziału Pol. Tow. Kraj., b. minister oświecenia pu-
blicznego, p. K. Prauss, nadesłał do głównego Za-
rządu tegoż Tow. następujący wniosek w sprawie
wakacyjnych kursów krajoznawczych:

Motywy wyjaśnienia:

Wycieczki krajoznawcze mają, bezwątpienia, duże
znaczenie i przynoszą znaczną korzyść, szczególnie,
o ile poprzedza je odpowiednie przygotowanie. Jed-

TYPY LUDOWE.



fol. ze zbiorów Pol. Tow. Krajozn.

Pasterz-wolarz z Zakopanego.

nakże nie mogą one wystarczyć, jeżeli chodzi o grun-
towniejsze poznanie jakiegokolwiek zakątka kraju.
Dłuższy pobyt w danej okolicy jest wtedy konieczny.

Dla tych, którzy pragną poznać najciekawsze
okolicie naszego kraju dokładniej, niż to jest mo-
żliwe podczas zwykłych wycieczek, proponuję orga-
nizację

lokalnych wakacyjnych kursów krajoznawczych

na następujących zasadach:

Kursy są organizowane przez P. T. K. w róż-
nych miejscowościach kraju rok rocznie, w porze
letniej, a, o ile okazałoby się możliwe, także pod-
czas feryj szkolnych.

Program obejmuje z reguły wykłady z przyrody
etnografii, historii i stosunków ekonomicznych oko-
licy, w której się kursy odbywają; pozatem mogą
być uwzględniane inne tematy w związku z miej-
scowymi warunkami.

Równoległe do wykładów odbywają się wy-
cieczki po okolicy pod kierunkiem prelegentów.

Punkt ciężkości stanowią wycieczki. Stosunek
czasu przeznaczanego na wykłady i wycieczki, wy-
nosi mniej więcej 1:5.

Czas trwania kursu — około miesiąca.



Przy kursach istnieją internaty dla ułatwienia słuchaczom taniego pobytu.

Kursy są przeznaczone przede wszystkim dla nauczycieli szkół powszechnych oraz dorastającej młodzieży.

* * *

Dla przykładu wskażę parę okolic kraju, w których należałoby od razu przystąpić do organizowania kursów z następującym mniej więcej programem:

1) *Podhalańskie wakacyjne kursy krajoznawcze.* (W Zakopanem).

PROGRAM:

Świat zwierzęcy i roślinny Tatr, Pienin i Podhala.
Geologia naszych gór.
Klimat wysokogórski.
Etnografia Podhala.
Historja Podhala.
Stosunki ekonomiczne Podhala.
Ochrona przyrody.
Sporty wysokogórskie.
Ratownictwo w górach.
Razem godzin max. 40—60, zależnie od pogody.
Wycieczki naukowe, konserwowanie zbiorów.
Wycieczki sportowe, kurs praktyczny wspinaczki, a w zimie narciarstwa.

2) *Pomorskie wakacyjne kursy krajoznawcze.* (Nad Bałtykiem).

PROGRAM:

Świat zwierzęcy i roślinny morza.
Geografia fizyczna morza.
Geologia Pomorza.
Klimat morski.
Etnografia Pomorza.
Stosunki ekonomiczne Pomorza.
Żegluga morska i rzeczna.
Handel wszechświatowy etc. etc.
Wycieczki naukowe, konserwowanie zbiorów.
Nauka pływania; wioślarstwo.

3) *Śląskie wakacyjne kursy krajoznawcze.* (Ok. Katowic).

PROGRAM:

Kultura i natura.
Bogactwa mineralne ziem polskich.
Geologia zagłębia węglowego.
Organizacja wielkiego przemysłu i górnictwa — obcego i polskiego.
Stosunki etnograficzne.
Śląsk w dziejach Polski — etc. etc.
Wycieczki geologiczne, zwiedzanie kopalni, hut i fabryk.

4) *Litewsko-białoruskie kursy krajoznawcze.* (Ok. Wilna).

PROGRAM:

Przyroda pojezierza litewskiego.
Etnografia litewsko-białoruskich kresów Rzeczypospolitej,

Litwa i Białoruś w dziejach Polski.
Stosunki ekonomiczne — etc. etc.

5) *Wielkopolskie kursy krajoznawcze.* (Nad Gopłem). Program poza przyrodą, etnografią i historją! powinien w szerokiej mierze uwzględniać stosunki miejscowe, które się wytworzyły wskutek wiekowej przynależności do Niemiec; pozatem zapoznać słuchaczy z intensywną gospodarką rolną i przemysłem rolniczym tej dzielnicy.

Wiele innych okolic nadaje się również do urządzania kursów, np.

6) Huculszczyzna, 7) Świętokrzyskie, 8) Krakowskie, 9) Mazowsze, 10) Polesie i t. d.

Zgodnie z wyżej wyłuszczone, proponuję przyjęcie następującej rezolucji:

Zjazd wzywa Zarząd Główny P. T. K., aby podjął inicjatywę w sprawie opracowania zasad organizacji i programu lokalnych wakacyjnych kursów krajoznawczych i w miarę możliwości przystąpił do stopniowego organizowania takich kursów.

K. PRAUSS

Zakopane, 22 listopada 1919 roku.

oooooooooooo

Z POLSKIEGO TOWARZYSTWA KRAJOZNAWCZEGO.



W kończącym się roku 1919 działalność Towarzystwa, pomimo bardzo trudnych warunków, była znaczna. Za impulsem Centrali Warszawskiej powstawały nowe Oddziały prowincjonalne w Cieszylinie, Zakopanem, Zgierzu oraz Wilnie. Oddział zakopiański, zwany również Podhalańskim, wykazuje znaczną inicjatywę i czynność, skrzętnie zabiega dokoła zorganizowania Domu wycieczkowego w Zakopanem, co jest sprawą niezmiernie ważną, ze względu na bardzo trudne warunki mieszkaniowe w uroczej stacji klimatycznej, zwłaszcza w ciągu letnich miesięcy. Zarząd Oddziału Podhalańskiego rozwinął energiczną akcję, dążącą do należytego uregulowania ochrony przyrody i krajobrazu.

Na Śląsku Cieszyńskim praca krajoznawcza posuwa się żwawo naprzód — oprócz oddziału w Cieszylinie powstały tymczasowo pododdziały w mniejszych miastach. Główną zasługą nad zorganizowaniem Oddziału P. T. K. w Wilnie położył b. kierownik Biura T-wa w Warszawie d-r Zygmunt Fedorowicz. Należy zaznaczyć, że Oddział Wileński jest pierwszym i dotychczas jedynym na ziemiach Wschodnich.

Zarząd Główny P. T. K. projektował zwołać Zjazd Ogólnokrajoznawczy z całego obszaru Rzeczypospolitej. Posiedzenia Zjazdu miały się odbyć w dniu 7 i 8 grudnia r. 1919, z udziałem przedstawicieli organizacji społecznych. Zjazd ten miał za

zadanie przeprowadzić daleko idące reformy w organizacji T-wa; jak utworzenie w Warszawie Rady Naczelnej krajoznawczej, zmiany Statutu, ponieważ dotychczas obowiązujący, jako przyjęty w zupełnie innych warunkach, nie odpowiada zadaniom w zmienionej sytuacji politycznej Ojczyzny.

Niestety jednak niezmiernie trudne warunki komunikacyjne w obecnej porze roku przeszkodziły chwilowo w urzeczywistnieniu projektu Zjazdu w terminie wyżej oznaczonym. Zarząd zatem odłożył zjazd na jeden z miesięcy wiosennych, kiedy warunki komunikacyjne niewątpliwie się polepszą.

Jednak konieczność dokonania pilnych zmian w ustawie oraz załatwienia spraw bieżących zmusiła Zarząd do zwołania walnego nadzwyczajnego posiedzenia Członków P. T. K. w d. 17 grudnia 1919 r. Na zebraniu tem, które się odbyło przy udziale około 100 osób, uchwalono podnieść składkę roczną do 20 mk. a wpisowe do 5 mk.

Sprawa nabycia domu po Muzeum im. d-ra Chałubińskiego w Zakopanem w celu urządzenia Gospody Krajoznawczej znalazła gorące poparcie zebranych, którzy na ten cel zebrali jako składkę doraźną około 700 mk. Postanowiono odwołać się do szerokich warstw społeczeństwa o poparcie projektu, którego urzeczywistnienie wymagać będzie około 700,000 koron.

Stosownie do dawno przyjętego zwyczaju Towarzystwo urządziło szereg odczytów na zebraniach miesięcznych.

Wygłosili odczyty następujący prelegenci w porządku chronologicznym jak poniżej: S. Wołosowicz „Bug Środkowy, sprawozdanie z badań“; A. Sujkowski „O Francji współczesnej“; Z. Denter „O Wielkopolsce“ oraz p. Klejnot „O Estonji“ z przezroczami.

oooooooo

Z piśmiennictwa.

— Po dłuższej przerwie, spowodowanej wypadkami wojennymi, odrodziło się w styczniu 1919 r. tyle zasłużone już wydawnictwo Poradnika Językowego pod dawną redakcją p. Romana Zawilińskiego. Z żywą radością przyjmą niewątpliwie wiadomość o tem wszyscy miłośnicy języka ojczystego. Jak czytamy we wstępnem słowie redakcji, „doświadczenia, zebrane w ciągu trzechlecia istnie-



Fot. ze zbiorów Pol. Tow. Krajozn.

Krzyż pod Proszowicami, pow. miechowski.

nia Języka Polskiego, kiedy Poradnik Językowy usunąć się musiał na plan drugi, wskazywały potrzebę powrotu do dawnego Poradnika, który będzie informował w sprawach języka naszego, ale będzie przede wszystkim spieszył z radą i pomocą, gdzie tego będzie potrzeba. Język Polski, jako dwumiesięcznik popularno-naukowy, będzie zresztą również wychodził nadal staraniem Komisji językowej Ak. Umiej. w Krakowie. W nadesłanych nam dotychczas dziesięciu zeszytach Poradnika znajdujemy cały szereg artykułów, mogących zainteresować każdego inteligentnego Polaka, a więc np.: „Obszar polszczyzny“, „Trzeba spolszczyć Polskę“, „Giętkość języka polskiego“ i t. p. Na szczególną uwagę zasługuje jednak, jak i dawniej, dział „roztrząsań“, w którym redakcja udziela odpowiedzi i wyjaśnień na nadsyłane przez czytelników zapytania i wyrażane przez nich wątpliwości. Adres



redakcji Poradnika Językowego: Kraków,
ul. Podwale 1. 7. Przedpłata roczna: 20 marek.

oooooooooooo

Oceny i sprawozdania.

Ks. W. Barczewski. *Geografia polskiej Warmji*.
Odbitka z „Gazety Olsztyńskiej”. Olsztyn, nakładem
autora, 1918 r., str. 128.

W chwili wyjątkowego zainteresowania się ogółu polskiego sprawą i losami Warmji ukazała się książeczka niniejsza. Ogłoszenie plebiscytu w polskiej części Warmji przez kongres paryski pozwala żywić nadzieję, iż stara ta dzielnica Polski zjednoczy się znowu z całością ziem Rzeczypospolitej. Rozszerzyłyby się przez to granice nasze, powstałaby dla rządu i społeczeństwa polskiego możność roztoczenia bezpośredniej opieki nad oderwaną od pnia macierzystego już przed półtora wiekiem i wydaną dotychczas na łup praktyk germanizatorskich rdzenną ludnością polską w tym kraiku, zasilonaby wreszcie została odradzająca się Ojczyzna nasza sporą i zwartą masą krzepkiego pod każdym względem włościanstwa, stanowiącego na Warmji jedyną właściwą klasę ludności.

Pojawienie się książeczki ks. Barczewskiego uznać należy tem bardziej za pożądane, iż dotychczas publicystyka nasza i piśmiennictwo naukowe zbyt mało, niestety, zajmowały się tym szczupłym i dość małodudnym, ale pomimo to bardzo ważnym, ku morzu zbliżającym nas obszarem. Poza piękną i poważną pracę dra Sieniawskiego: „Biskupstwo Warmińskie”, wydaną już przed trzydziestu laty, nie posiadamy żadnej nowszej monografii tej krainy, gdyż paru przygodnych, a drobnych rozmiarami opisów wycieczek w te strony nie możemy oczywiście brać pod uwagę.

„Geografia” ks. Barczewskiego nie daje wprawdzie całkowitego i wszechstronnego opisu Warmji, bądźco bądź jednak pogłębia znacznie naszą wiedzę o tej krainie. Podany tu został kolejno opis parafii polskich oraz należących do nich wsi ze specjalnem uwzględnieniem nazw miejscowych, które zgromadzić się udało autorowi w liczbie, nader pokażnej. Ustala więc autor przedewszystkiem nazwy miejscowości zamieszkałych w ich brzmieniu historycznem oraz ludowem współczesnem, ponadto zaś podaje polskie miejscowe nazwy: jezior, rzek, łąk, pól, bagien, lasów i t. p. A więc dowiadujemy się stąd, że np. w Starem Marcinkowie, w parafii purdzkiej łąki mają nazwy: sękacz, kopańki, żółte bagno, ostrów, gogólnik, melcuch, dzionki, pogorzałki; w Grašku, w parafii giławskiej, pola mają nazwy: rasztubnica, lasek; bagna zaś: olszanka, sokolanka, zarazowe i białe bagno. Niemala jest tu wogóle nazw ciekawych, o charakterystycznym, nawskroś lokalnem brzmieniu.

Poza tą stroną toponymiczną w omawianem dziełku znajdujemy zanotowanych niemało zwyczajów ludowych oraz garść cennych obserwacji lingwistycznych wraz z wykazem przysłów miejscowych. Zamyka książeczkę spis miejscowości na Warmji, ułożony alfabetycznie według urzędowych nazw niemieckich wraz z podaniem ich polskich odpowiedników. Naogół różni się on niewiele od znanych opracowań Sieniawskiego i Kętrzyńskiego, nawet jednak dla tych nielicznych sprostowań i uzupełnień prac dawniejszych, jakie tu znajdujemy, warto było raz jeszcze go tu przedrukować.

Opis Warmji pióra ks. Barczewskiego ma zatem charakter specjalny: nie zastąpi on właściwej geografii tego kraiku, jaka dopiero powinna być napisana, dla każdego jednak badacza ziem naszych, wyzwalających się dopiero z pod przemocy pruskiej, będzie miał zawsze wartość dokumentu, opracowanego na miejscu z niepospolitą znajomością stosunków lokalnych.

E. M.

Czarnecki Wiktor. *Co Tacyt i Herodot o Polsce donieśli. Wstęp*. Poznań 1916, 8-ka str. 87.

Wzmiankę niniejszą umieszczam jedynie dla ostrzeżenia tych wszystkich, którzy sądząc, z pociągającego tytułu, szukaliby w tej pracy wiadomości, co pisali obydwaj pisarze starożytni o ziemiach polskich. Nic podobnego czytelnik tu nie znajdzie. Autor przyznaje, że wywody jego nie mają pozoru naukowych, ponieważ wprowadza do nich fantazję, tłumaczy to zaś tem, że „formy, w które pierwotnie ustrojono dzieje ludzkości są fantastyczne. w bujnej fantazji uczonych powstałe, i do odgadnięcia ich potrzeba puścić wodze rozkiełzanej fantazji, ponieważ metody, tak zwane naukowe, najzupełniej zawodzą”. Do czego prowadzą „fantastyczne” metody autora, świadczą jego pomysły utożsamiania autochtonicznych mieszkańców Europy Środkowej z Semitami, których resztki „sporadycznie się odnajdują w rudych Keltach Szkocji i Islandji i wśród Żydów”, dalej odnalezienie raju na dzisiejszem Polesiu, wzmianki o panowaniu dynastów turańskich w Prusach i inne podobne, mogące tylko budzić śmiech, poglądy. Szczerze żałować należy kosztów wydania, jakich w latach wojny wymagała niniejsza książeczka, za nie ukazać by się mogła inna jaka praca, na „tak zwanej metodzie naukowej oparta”, która więcej pożytku przyniosłaby społeczeństwu i nauce polskiej.

B. Olszewicz.

oooooooooooo

Listy do Redakcji.

Pozwoli Szanowna Redakcja, że ją poproszę o umieszczenie w „Ziemi” następującego sprostowania, a to w związku z ogłoszonym niedawno artykułem p. St. Wołosowicza: „Z fizjografii Bugu środkowego”.

1) Piszę w wymienionej rozprawce na str. 570 autor, iż „w międzyczasie wydana mapa hydrograficzna prof. St. Pawłowskiego, reprodukowana w „Geografii Polski w dawnych granicach“ P. Sosnowskiego...“ i t. d. Stwierdzam przeto stanowczo, iż żadnej mapy hydrograficznej Polski nie wydałem. Napisałem natomiast „Geografię Polski“, w której pomieszczony został (str. 83) mały szkic hydrograficzny ziem polskich bez pretensji mianowania się „mapą hydrograficzną Polski“.

2) Na tejże samej stronie zwraca się autor z wyrzutem w stronę już nie tylko moją, ale także innych geografów, iż nie zauważyliśmy, że Bug płynie prosto na północ, a powtóre, że płynie w środku lekkiego wzniesienia. Otóż co do mnie, to kierunek konsekwentny Bugu ku północy a w górnym biegu równoległy do Sanu dosyć dawno mnie uderzył i zajął, o czym autorowi, zabierającemu się do studjów szczegółowych nad Bugiem powinno być dostatecznie wiadomo. Co do wzniesienia zaś, które Bug przerzyna, to uważam, że rzecz ta mniej jest zasadnicza w historii Bugu, niż np. przełom Bugu przez szeroki garb wołyński na linii Sokal — Włodzimierz Wołyński lub choćby nawet wcięcie doliny Bugu w wyniosłości podlasko-mazowieckie (np. pod Mielnikiem).

3) Autor interpretuje mój szkic w tym duchu (str. 573), iż Bug skręcał mniej więcej pod Włodawą na zachód i przez dolny Wieprz łączył się z Prawisłą. Snuje także dalsze konsekwencje z tej interpretacji i podsuwa mi myśl, że dolina glacialna Prabugu (między Włodawą a Brześciem) powstała później przy współudziale erozji wstecznej lub innych czynników, aniżeli doliny glacialne o kierunku wschodnio-zachodnim.

Przedewszystkiem zapewnić muszę autora, iż nigdzie w takiej formie, jak mi podsuwa, twierdzeń podobnych nie napisałem i zastrzedz się muszę przeciw temu. Powtóre pragnę go objaśnić, iż szkic, zamieszczony w podręczniku szkolnym, przeznaczonym dla klasy najwyższej w szkole średniej, miał zobrazować ten ogólny fakt, iż Wisła łączy się w kierunku dolnego Wieprza z Bugiem w okresie dyluwialnym. Ten fakt zaś nie tylko nie został przez autora obalony, ale nawet potwierdzony, przez co honor podręcznika ocalał. Gorzej by było dla podręcznika, gdyby się pokazało, że Bug z Wisłą wogóle się nie łączył.

Po trzecie szkic wspomniany jest w ten sposób narysowany, iż dopuszcza możliwość połączeń Bugu z Wisłą nie tylko pod Włodawą. Według podziałki szkicu (1:10 mil.) dolina dyluwialna, przypierająca do Bugu, musiałaby być 70 km. szeroka, co jest w tym wypadku absurdem. Ten absurd wszakże świadczy, na co autor, wniosując zbyt pośpiesznie, nie zwrócił dostatecznej uwagi, iż rzecz została przezemnie naszkicowana ogólnikowo bez pretensji, aby uchodzić za pewnik naukowy lub stać się przedmiotem badań naukowych. Jeżeli mimo to weszła do podręcznika, to stało się to ze względów dydaktycznych. Wydawało się bowiem rzeczą wprost konieczną pouczyć ucznia, jak mniej więcej wy-

glądała sieć dolin dyluwialnych na ziemiach polskich.

Tyle co do sprostowania. Co do pozytywnej strony wywodów autora, wyznać otwarcie muszę, iż nie zostałem o ich słuszności przekonany. Stało się to — być może — dlatego, że rozprawka nosi charakter pracy w pobieżnych i ogólnikowych rysach zaledwie naszkicowanej. Z przyjemnością tedy czekam na studjum szczegółowsze i głębsze, któreby mi pozwoliło przyznać autorowi rację bez żadnych zastrzeżeń.

St. Pawłowski.

II.

Prof. S. Pawłowski w liście do red. „Ziemi“ uważa za konieczne w sposób bardzo stanowczy obalać moje poglądy, wyrażone w artykuliku, wydrukowanym w № poprzednim „Ziemi“. Główny zarzut jaki mi stawia, polega na tem, że ja zbyt poważnie potraktowałem „schemat“ dolin dyluwialnych na Ziemiach Polskich. Sądzę, że nie tylko „bezpretensjonalny schemat“, przeznaczony dla dwóch najbardziej rozpowszechnionych i używanych podręczników do geografii kraju ojczystego, ale nawet rysunek, przeznaczony do wydawnictw dla analfabetów, powinien być wolny od błędów faktycznych.

W wypadku omawianym tak się rzecz nie przedstawia, ponieważ:

1. Połączenie Prabugu z Prawisłą — z moich rozumowań to jasno wynika — miało miejsce przez dolinę Krzyny, zatem pod Brześciem

2. Jeżeli Bug płynął od Włodawy ku zachodowi do Wisły — z mapki prof. Pawłowskiego tak wynika — nie miałyby dostatecznej siły do wyżłobienia doliny, szerokiej do 3—3½ kilom. i głębokiej do 25 metrów (między Włodawą a Kodniem).

Zaznaczyć muszę jednak, że Szanowny Profesor popełnia małą niekonsekwencję uważając, iż rysowanie mapek do podręczników dla szkół średnich nie obowiązuje do niczego, zaś artykuł, z natury rzeczy cokolwiek chyba „mniej pretensjonalny“ (od artykułów pretensjonalnych istnieją „Biuletyny“, „Sprawozdania“, „Kosmosy“, „Pamiętniki“ i t. d.) może być powodem do dyskusji, a stwierdzenie, że „rozprawka nosi charakter o rysach pobieżnych i nieprzekonywujących“ tem bardziej powiększa niekonsekwencję.

Szkic do pracy o Bugu został złożony przeze mnie na ręce jednego z naszych wybitnych geografów, posiadającego (rzecz, niestety bardzo rzadka...) gruntowną znajomość geologii. Jeżeli ukaże się później w druku, chętnie podejmę dalszą dyskusję, obecnie uważam ją za zupełnie bezprzedmiotową.

S. Wołosowicz.

oooooooooooo

Kronika krajoznawcza.

— Decyzją Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 7 grudnia r. b. zarządzona została zmiana dotychczasowej nazwy miasta „Dąbrowa“ na „Dąbrowa Górnicza“. Donosi o tem *Monitor Polski* z dnia 19 grudnia.

— Towarzystwo kresów pomorskich komunikuje: Wybory do rad miejskich i gminnych, które się odbyły na obszarze „Wolnego miasta Gdańska“ w połowie grudnia b. r., dały wynik naogół dla nas niedopuszczalnie pomyślny. Według wiadomości, dotychczas otrzymanych, Polacy przeprowadzili swoich kandydatów w następujących ważniejszych miejscowościach: w Gdańsku 5 (na ogólną liczbę radnych 66), w Sopocie 3 (na 22), w Oliwie 3 (na 24), w Pszczółkach (Hohenstein) 2 (na 9), w Kleszczewie (Kleschkau) 5 (na 9), w Mierzyszynie (Meisterswalde) 2, a w Oruni (Obra), Brentowie i Emausie po 1. Znaczenie tych wyborów uwypukla się jeszcze bardziej, jeżeli porównać liczby głosów, oddanych na kandydatów polskich z rzekomym procentem ludności polskiej według ostatniego spisu urzędowego (z r. 1910). Głosy oddane na wyborach:

	Ogółem.	Polskie.	% gł. pol.	% Polaków według stat. urzęd.
Gdańsk . .	89000	7291	8,3	2,2
Sopot . .	9507	1257	13,1	9,5
Orunia . .	4111	285	7,0	1,1
Kleszczewo	93	54	58,0	44,5

W Gdańsku w skutek nielegalnych machinacji komisji wyborczych nie wpisano na listę około 2000 wyborców Polaków, przeciw czemu już zaprotestowano ze strony polskiej, gdyby te głosy bez naszej winy, nie były przepadły, udział wyborców polskich w Gdańsku zapewne przekroczyłby 10%. Trudno o dosadniejszy dowód fałszywości urzędowej statystyki pruskiej. W samym Gdańsku liczba oddanych głosów polskich jest przeszło dwa razy większa, niż całkowita liczba Polaków według źródeł urzędowych. Może jeszcze jaskrawiej okazało się to w Mierzyszynie, gdzie na 827 mieszkańców miało być 5 Po-

laków i w Pszczółkowie, gdzie na 820 mieszkańców naliczono aż 3 Polaków. W każdej z tych miejscowości Polacy przeprowadzili po 2 radnych na 9.

oooooooooooo

Nowe książki.

(W rubryce tej podawać będziemy stale tytuły książek, nadesłanych do redakcji „Ziemi“. W ten sposób czytelnicy nasi informowani będą o wszelkich nowościach z dziedziny krajoznawstwa i pokrewnych gałęzi wiedzy).

- BARCZEWSKI W. KS. *Geografia polskiej Warmii*. Odbitka z „Gazety Olsztyńskiej“. Olsztyn, nakładem autora, 1918.
- DYBCZYŃSKI TADEUSZ. *Góry Świętokrzyskie*. Warszawa, M. Arct. 1919.
- FRANKOWSKI EUGENIUSZ. *Estudios etnológicos. Los signos quemados y esquitados sobre los animales de tiro de la Peninsula Iberica*. Madrid 1916.
- *Notas etnológicas. La lucha entre el hombre y los espíritus malos por la posesion de la tierra y su usufructo*. Madrid 1916.
- *Horreos y palafitos de la Peninsula Iberica*. Madrid 1918.
- *As cangas e jugos portugueses de jungir os bois pelo cachaco*. Lisboa 1916.
- *Polonia y su mision en Europa*. (Con quatro mapas). Madrid 1919.
- KONECZNY FELIKS DR. *Czeskie a polskie prawa historyczne do Cieszyńskiego*. Warszawa 1919.
- KOSIŃSKI KAZIMIERZ. *Król i kaznodzieja*. (Zygmunt III i ks. Piotr Skarga). Warszawa, 1919, nakł. Pol. Tow. Kraj.
- LANGER ANTONI. *Oświata poza szkolna na terenie gminy*. Warszawa 1919.
- Nazwy miejscowości na Pomorzu*. Staraniem Towarz. Kresów Pomorskich. Warszawa, 1919.
- Rzut oka na 125 lat walki narodu polskiego o niepodległość*. Wyd. Komitetu budowy pomnika wyzwolenia w Wilnie. Wilno, 1919.
- TYMIENIECKI KAZIMIERZ. *Pierwsi gospodarze Warszawy*. Warszawa 1919, nakł. Pol. Tow. Kraj.

TREŚĆ: *Kazimierz Kuźwiec* — Krajoznawstwo w zjednoczonej Polsce. *Stanisław Łoza* — Pałac Raczyńskich w Warszawie (z 1-ną ilustr.). *Stanisław Miklaszewski* — Z Puszczy Białowieskiej. *Edward Maliszewski* — Żywiół polski na Wołyniu. *Witalis* — Kościół w Hajnie (z 1-ną ilustr.). *Wacław Wielecki* — Ruiny Polski (z 4-mą ilustr.). *Stanisław Wołosowicz* — Pokłady gliny białej w pow. włodawskim. *Adam Chętnik* — Ligawka kurpiowska (z 1-ną ilustr.). *Marjan Mechowicki* — Z podróży do Australji (dok.). — Do naszych Czytelników. — Zjazd turystyczny w Krakowie. — Adres Pol. Tow. Krajoznawczego na otwarcie Wszechnicy Batorego w Wilnie. — Odezwa w sprawie Domu Wychowawczego w Zakopanem. *K. Prauss* — O wakacyjne kursy krajoznawcze. — Z Polskiego Tow. Krajoznawczego. — Z piśmiennictwa. — Oceny i sprawozdania. — Listy do Redakcji pp. St. Pawłowskiego i St. Wołosowicza. — Kronika krajoznawcza. — Nowe książki. — Osobne ilustracje: Dwór w Podfilipiu nad Zbruczem, pow. kamieniecki. — Typy z okolic Pińczowa. — Ruiny zamku w Czarnokoźnicach na Podolu. — Z nad Szeszupy, pow. kalwaryjski. — Chłopiec z Wilkołaza, pow. janowski. — Pasterz-wolarz z Zakopanego. — Krzyż pod Proszowicami, pow. miechowski.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA W WARSZAWIE, ULICA KAROWA 31. TELEFON 42-50.

Redaktor EDWARD MALISZEWSKI.

Wydawca POLSKIE TOWARZYSTWO KRAJOZNAWCZE